

- ❑ Z CZYM DO WYBORÓW PARLAMENTARNYCH
- ❑ KOŚCIÓŁ KATOLICKI A POLITYKA
- ❑ OBLICZE POROZUMIENIA CENTRUM

NR 2 Maj 1991

# PRZEGLĄD

PISMO NIEZALEŻNE

# K R Y T Y C Z N Y

PRZED WYBORAM I DO PARLAMENTU

## Z CZYM DO WYBORÓW?

W miarę narastania nastrojów niezadowolenia beznadziejność, a zarazem spadku zaufania społecznego do obozu rządzącego w naszym kraju, w środowiskach postępowych dojrzeła spóźniona i szkodliwa decyzja bojkotu zbliżających się wyborów parlamentarnych. Jest to jeszcze jedno świadectwo, że środowiska te opierają swoje oceny polityczne raczej na złudzeniach i emocjach, niż na trzeźwej ocenie rzeczywistości.

Kiedy uczestnictwo w wyborach czerwcowych 1989 roku oznaczało akceptację drogi ostatecznego zwycięstwa odradzającej się polskiej burżuazji, na gruncie sojuszu, formalnie skupionej pod znakiem "Solidarności" opozycji i uprzywilejowanej warstwy zarządzającej PRL, środowiska te pośpieszyły do urn wyborczych ludząc się, że jest jeszcze coś do wygrania z pozycji socjalizmu.

Kiedy nowy obóz rządzący ogłosił wybory do samorządu terytorialnego, jako receptę na wszystkie dolegliwości społeczne, a ponad 50 % wyborców te wybory zbojkotowało, co oznaczało początek rozpadu obozu solidarnościowego, ludzie ci znów pomknęli do urn wyborczych, wierząc, że zdobędą pozycję w samorządzie, które realnie były nie do zdobycia, podnosząc w ten sposób frekwencja wyborczą.

Kiedy siły prawicowe przeforsowały przyspieszenie wyborów prezydenckich, środowiska te szeroko zaangażowały się na rzecz tzw. kandydata "lewicy", jak się prostacko argumentowało, aby pokazać, że "my stanowimy jeszcze liczącą się siłę", aczkolwiek, już ponad 40 % wyborców ponownie zbojkotowało wybory, a tzw. lewica nie posiadała w rzeczywistości żadnych szans.

Natomiast dziś, kiedy wśród ludzi pracy, na gruncie powszechnego niezadowolenia, zaczynają dojrzeć pierwsze przejawy zrozumienia, że polityka sił kierowniczych obozu rządzącego, pozostaje w zasadniczej sprzeczności z ich żywotnymi potrzebami i interesami, że zostały one oszukane, że przywrócenie kapitalizmu oznacza ich całkowite zubożenie na rzecz bogacenia się garstki wyzyskiwaczy i jej zachodnich protektorów, że posłużono się nimi, jak przysłowiowym mięsem armatnim w imię

plugawych interesów dorobkiewiczów, kiedy siły skrajnej prawicy widzą ratunek tylko we wprowadzeniu rządów totalitarnych i dążą do ostatecznego przekształcenia parlamentu w posłuszne narzędzie Belwederu, w celu zdławienia wszystkich postępowych i demokratycznych odruchów i tendencji - w środowiskach tzw. lewicy rozlegają się głosy o bojkocie wyborów parlamentarnych, czyli praktycznie, za przekazaniem parlamentu w ręce reakcji bez walki, za spacyfikowaniem politycznego niezadowolenia mas, za rezygnacją z próby zdyskontowania zmiany nastrojów społecznych.

Jest to taktyka samobójcza, której trzeba zdecydowanie się przeciwstawić. Tym razem, bowiem, obozowi rządowemu zależy nie na frekwencji, lecz na wynikach wyborów, niezależnie od liczby biorących w nich udział wyborców. Zależy mu, aby do urn poszli przede wszystkim jego zwolennicy, zależy mu, aby przeciwnicy pozostali w domu. Będzie to, bowiem, walka nie o spektakularny wyraz poparcia, lecz o sposób sprawowanie władzy, którą obóz rządzący już posiada.

Co ludzie pracy mają więc do wygrania w wyborach parlamentarnych w aktualnej sytuacji, kiedy obóz rządzący świadomie realizuje politykę ekonomicznej katastrofy, pauperyzacji mas i przekształcania Polski w środkowoeuropejską kolonię międzynarodowego kapitału? Czy mogą w wyborach zdobyć decydujący wpływ na władzę? Oczywiście, nie! W warunkach politycznego i organizacyjnego rozbicia ludzi pracy, przede wszystkim zaś klasy robotniczej, jest to niemożliwe. Ale mogą zagrozić drogę do władzy siłom skrajnej reakcji, mogą zapewnić sobie w parlamencie wpływ na losy kraju i politykę rządu, mogą i muszą, w imię swych żywotnych interesów, przekształcić wybory parlamentarne w pierwszy krok na drodze powstania i rozwoju sojuszu wszystkich pracujących w walce z wyzyskiem ekonomicznym i uciskiem politycznym, sojuszu postępu społecznego i demokracji, jako trwałej siły, reprezentującej ich rzeczywiste potrzeby i interesy.

Co zatem trzeba czynić, aby na tej drodze dokonać istotnego kroku naprzód?

Nie naszą jest sprawą, oczywiście, napędzanie frekwencji wyborczej w ogóle. Pozostawmy to parafii, która w ostatnich wyborach uzyskała w tej dziedzinie niewątpliwy sukces. Naszą sprawą, to mobilizacja świadomych wyborców do głosowania, za konkretnym programem i za konkretnymi kandydatami, którzy ten program zechcą reprezentować, niezależnie od tego, z jakim

kierunkiem politycznym są związani. Nasza sprawa, to walka o zdobycie w parlamencie takiego przyczółka, który pozwoli przeciwstawić się, antynarodowej polityce prawicy i ją demaskować.

Nie wolno nam pozwolić się zepchnąć na pozycje tłumaczenia się i walki z lawiną fałszerstw i kłamstw oficjalnej propagandy na tematy związane z historią. Antynarodowa polityka obozu rządzącego sama wystarczająco się demaskuje, a historyczne przetrwanie odpowiedzialności za aktualną sytuację kraju na przeszłość, coraz to słabiej trafia do przekonania ludziom pracy, których pozbawia się wszystkich zdobyczy okresu powojennego. Nasze zadanie, to formułowanie i propagowanie takich żądań, które odpowiadają dzisiejszym potrzebom i interesom życiowym ludzi pracy i organizowanie na tym gruncie kampanii przedwyborczej. To jedyna słuszna droga do demaskowania prawicy i kształtowania podwalin sojuszu sił postępu i demokracji.

Zasadniczą kwestią staje się sprawa kandydatów na parlamentarzystów. Na jakich członkach parlamentu zatem zależeć? Za kim trzeba głosować i przeciwko komu?

Idzie o takich członków parlamentu, którzy znajdą się tam nie po to, aby utrwać panowanie wyzyskiwaczy, lub realizować własne egoistyczne interesy, lecz będą konsekwentnie reprezentować i bronić interesy ludzi pracy przeciwko interesom uprzywilejowanych, to znaczy zwiążą na trwałe swoją działalność parlamentarną z walką o urzeczywistnienie żywotnych potrzeb większości społeczeństwa i będą działać na rzecz jej politycznej aktywizacji i oddziaływania na decyzje parlamentu. Jednocześnie, trzeba będzie poprzeć tych kandydatów, którzy, niezależnie od orientacji politycznej, potowii będą bronić interesy ludzi pracy, przynajmniej częściowo, przeciwko tym, którzy będą reprezentowali zdecydowanie reakcyjny program.

Należy przyjąć, w związku z powyższym, taktykę poparcia wszędzie kandydatów bardziej postępowych, reprezentujących stanowisko bardziej lewicowe, w odniesieniu do innych w konkretnym okręgu wyborczym. Przy czym poparcie dla kandydatów tylko częściowo reprezentujących interesy pracujących, musi odbywać się w parze z demaskowaniem ich stanowiska w kwestiach, gdzie wyraża ono tendencje zachowawcze i prawicowe. W tym celu, muszą być sformułowane jasne i niedwuznaczne postulaty, wyrażające życiowe interesy ludzi pracy, z odrzuceniem wszelkiej ogólnikowej gadaniny o sprawiedliwości społecznej i demokracji. To znaczy, żądania w tych kwestiach muszą być sformułowane w postaci, konkretnych celów ekonomicznych, socjalnych i politycznych, zrozumiałych dla ludzi pracy. Aby zerwać z antypolityczną polityką dotychczasowych rządów nowo wybrany Parlament RP powinien za podstawę wyjściową swojej działalności przyjąć następujące żądania:

I. Ponieważ główną przyczyną nadciągającej katastrofy ekonomicznej kraju jest świadoma polityka rządu, prowadząca do rozkładu i likwidacji przemysłu państwowego, wytwarzającego główną część dochodu społecznego i skupiającego podstawową część narodowego majątku produkcyjnego, w celu jego wyprzedzenia za bezcen prywatnym posiadaczom, kosztem zubożenia i bezrobocia milionów Polaków, należy przywrócić pełnej zdolności produkcyjnej przemysłu państwowego uznać za decydujący warunek zapobieżenia zbliżającemu się załamaniu gospodarki. W tym celu trzeba:

- zlikwidować uprzywilejowanie prywatnego sektora, kosztem przemysłu państwowego,
- zlikwidować tzw. popiwek, zastępując go podatkiem odzwierciedlającym ekonomiczne i produkcyjne możliwości konkretnego przedsiębiorstwa,
- wprowadzić cła ochronne dla krajowej produkcji przemysłowej, preferując jej podaż na rynku wewnętrznym,
- stworzyć system centralnego sterowania i finansowania produkcji wewnątrz przemysłu państwowego, uwzględniający warunki ekonomicznej efektywności i konieczności zmiany

struktury produkcji, a co zatem idzie, technologicznego przebrojenia i inwestycji,

- wprowadzić w przemyśle państwowym system płac motywujący materialne zainteresowanie pracowników i uzależniający wysokość zarobków od wydajności i jakości pracy. System ten powinien objąć również całą kadre zarządzającą, z rządową włącznie.

II. Położyć kres rządowej polityce rujnowania rolnictwa, w celu wyrugowania z ziemi i przekształcenia w bezrobotnych, gotowych przyjąć pracę na najbardziej podłych warunkach, 2 milionów chłopów i 500 tys. pracowników PGR i ich rodzin i wyprzedania za bezcen zwolnionych przez nich gruntów wielkim posiadaczom rolnym. W tym celu należy:

- zapewnić niskoprocentowy kredyt dla rolnictwa,
- wprowadzić cła ochronne dla rodzimej produkcji rolniczej, preferując jej podaż na rynku krajowym,
- zapewnić skup całości nadwyżek produkcji rolnej przez państwo,
- wprowadzić system dotacji przez państwo tej części nieopłacalnej produkcji rolnej, która jest niezbędna dla wyżywienia społeczeństwa,
- zapewnić taki poziom produkcji przemysłowej dla rolnictwa, który zabezpieczy jego potrzeby, a jednocześnie dostosować ceny towarów do ekonomicznych możliwości gospodarstw rolnych.

III. Zapobieżenie ekonomicznej ruinie kraju i pracującej większości społeczeństwa wymaga zerwania z rządową polityką przepompowywania dochodu narodowego do kieszeni rodzimych dorobkiewiczów i zagranicznej finansjery. W związku z tym konieczne jest:

- wprowadzenie dla zagranicznego kapitału zasad finansowych i prawnych, obowiązujących przedsiębiorstwa rodzime,
- ustalenie cen maksymalnych na rynku wewnętrznym i zdecydowane kontrolowanie ich przestrzegania,
- wprowadzenie podatku progresywnego od dochodów prywatnych przedsiębiorców, sprowadzającego je do poziomu dochodów przedsiębiorstw państwowych,
- zerwanie wszystkich nierównoprawnych umów gospodarczych z innymi krajami i zagranicznymi kontrahentami w ogóle,
- stworzenie systemu opłacalnej dla rodzimego przemysłu polityki kredytowej,

- poddanie kontroli Narodowego Banku Polskiego całości kształtu stosunków kredytowych i walutowych, z punktu widzenia interesów pracującej większości społeczeństwa,

- zrezygnowanie z rządowej polityki okradania wkładów milionów drobnych klientów PZU, PKO i innych banków, opartej na oprocentowaniu niższym, niż rzeczywista stopa inflacji. Zapewnienie im godziwego zysku od wypożyczonego kapitału.

IV. Powstrzymać żywiołowy proces prywatyzacji reprivatyzacji majątku państwowego. W związku z tym należy:

- dopuścić prywatyzację i reprivatyzację tylko tam, gdzie przemysł i gospodarka państwowa nie są zdolne zabezpieczyć potrzeby społeczne, zaś przyszły właściciel prywatny posiada dostateczne środki kapitałowe dla zabezpieczenia działalności gospodarczej na gruncie przejmowanego majątku,
- określić warunki kapitałowego udziału firm zagranicznych w prywatyzowanych przedsiębiorstwach państwowych tak, aby decydujący głos w nich zachował kapitał państwowy oraz określić granice części zysku, który może być odprowadzony na konta zagraniczne,
- wprowadzić zakaz sprzedaży majątku państwowego po cenach zaniżonych w stosunku do ich rzeczywistej wartości,
- zapewnić państwowy i społeczny system kontroli rozwoju prywatnej przedsiębiorczości, zgodnie z potrzebami i interesami pracującej większości społeczeństwa,

- uzależnić każdy wypadek prywatyzacji i reprivatyzacji od stanowiska załóg i zainteresowanych środowisk społecznych.

V. Przeciwwstawić się rządowej polityce likwidacji uprawnień socjalnych pracujących na rzecz bogacenia się warstw uprzywilejowanych i przywrócić wszystkie unieważnione dotychczas zdobycze socjalne ludzi pracy, ponieważ to ich nieopłacona praca stanowi źródło dochodów państwa i warstw uprzywilejowanych. W tym celu m.in. należy:

- zobowiązać do wprowadzenia wszystkich uprawnień socjalnych ludzi pracy w przedsiębiorstwach prywatnych, w tym również w przedsiębiorstwach zagranicznych,

- zapewnić prawo do pracy wszystkim obywatelom RP i zatrudnienie wszystkich bezrobotnych, co powinno należeć do zadań i obowiązków administracji państwowej,

- przeciwstawić się rządowej polityce obniżania emerytur i rent, pod obłudnym hasłem ich wyrównywania, a jednocześnie zreformować system emerytalno-rentowy tak, aby emerytura i renta wynosiła najmniej 70% rewaloryzowanej podstawy emerytury lub renty i nie mniej jednak, niż 50% aktualnej średniej płacy w sektorze państwowym,

- ustalić maksymalny pułap płac i dochodów na jednego zatrudnionego do wysokości trzech średnich płac, zaś płace minimalne na poziomie 50% średniej płacy w sektorze społecznym,

- ustalić górną granicę dochodów przeznaczonych na potrzeby osobiste właścicieli prywatnych przedsiębiorstw na poziomie trzech średnich płac w sektorze społecznym na członka rodziny, po odliczeniu wszystkich nakładów produkcyjnych, amortyzacyjnych i inwestycyjnych,

- wprowadzić progresywny podatek wyrównawczy od dochodów osobistych, przewyższających ustalony pułap w sektorze społecznym i prywatnym,

- przywrócić obowiązek państwa w zabezpieczeniu i realizacji ochrony zdrowia wszystkich pracowników najemnych, emerytów i rencistów. Dopuszczać do rozwoju prywatnej służby zdrowia tylko tam, gdzie oznacza to rozszerzenie świadczeń leczniczych dla społeczeństwa i jest przeprowadzone na gruncie osobistego wkładu kapitałowego zainteresowanych. Przywrócić wszystkie zdobycze socjalne w tym zakresie w lecznictwie zamkniętym, otwartym i w dziedzinie zaopatrzenia w leki,

- przywrócić wszystkie zdobycze socjalne w dziedzinie wczasów pracowniczych, wypoczynku dzieci i młodzieży, wychowania przedszkolnego /żłobki i przedszkola/

- uznać kwestię mieszkaniową za podstawową dziedzinę polityki socjalnej. Dla ludzi pracy mieszkanie nie może stanowić towaru rynkowego. W związku z tym budownictwo mieszkaniowe musi być dotowane przez państwo w takim zakresie, aby mieszkanie przestało być dla pracujących towarem superluksusowym. To samo dotyczy czynszów, które nie mogą przekraczać 10 % dochodów rodziny utrzymującej się z pracy najemnej, emerytów i rencistów.

VI. Powstrzymać, pogłębiając się w wyniku oddziaływania żywiołu rynkowego, degradację i rozkład systemu oświaty i kultury. W tym celu należy:

- zapewnić całkowite zabezpieczenie finansowe działalności instytucji oświatowych przez budżet państwa,

- zaprzestać likwidacji średniego szkolnictwa zawodowego,

- zaniechać działań na rzecz przygotowywania systemu odpłatności w szkolnictwie wyższym i średnim, zapewniając całej młodzieży prawo do bezpłatnej oświaty i szkoły wyższej,

- zaniechać likwidacji szkół i studiów zaocznych i wieczorowych dla pracujących, zapewniając prawo do bezpłatnej nauki i podnoszenia kwalifikacji zawodowych wszystkim obywatelom RP,

- zapewnić nauczycielom płace odpowiadające ich poziomowi na równorzędnych stanowiskach w całej sferze

budżetowej, jak również utrzymać ich uprawnienia socjalne, zgodnie z "Kartą Nauczyciela",

- zaniechać działań na rzecz komercjalizacji kultury i zapewnić jej zabezpieczenie finansowe w budżecie państwa, szczególnie w dziedzinie bibliotekarstwa, domów kultury, klubów i świetlic, instytucji teatralnych, kinematografii, publikacji naukowych oraz literatury klasycznej, ojczystej i obcej.

VII. Dotychczasowej demagogicznej propagandzie w dziedzinie ochrony środowiska należy przeciwstawić, niezależnie od planów perspektywicznych, doraźny program załatwienia spraw, które mogą i muszą być załatwione niemalże natychmiast. Są to m.in. następujące problemy:

- podjęcia zdecydowanych rygorystycznych kroków na drodze prawnej, administracyjnej i karnej w sprawie likwidacji zanieczyszczeń powietrza w miastach przez spaliny samochodowe /70% ogółu zanieczyszczeń powietrza/, do realizacji czego przełamać trzeba będzie, przede wszystkim, opór w organach władzy, od najwyższych poczynając, w administracji państwowej, w organach wymiaru sprawiedliwości i porządku publicznego,

- wydzielenia w trybie natychmiastowym środków w budżecie państwa na oczyszczenie wód w ogóle, wody pitnej w szczególności, jako jednego z podstawowych warunków ochrony zdrowia ludności. Nie rozstrzygnięcie tej kwestii w okresie kilku najbliższych lat może doprowadzić do nie dających się przewidzieć skutków, z punktu widzenia egzystencji ludzkiej w naszym kraju,

- zdecydowanego przeciwstawienia się akceptowanej i inicjowanej przez rząd polityce niekontrolowanego przekazywania pod budownictwo użytków rolnych i rabunkowej eksploatacji lasów oraz niszczenia zieleni miejskiej.

VIII. Unieważnić należy wszystkie inicjowane przez obóz rządzący akty prawne:

- sprzyjające korupcji i malwersacjom w organach władzy i administracji państwowej, jak np. wyrażenie zgody na uczestnictwo członków rządu w prywatnej działalności gospodarczej, bez ograniczeń,

- akceptujące tolerancyjny stosunek organów sprawiedliwości w odniesieniu do działalności przestępczej,

- obzewładniające organa ścigania /policję/ w walce z przestępstwami przeciwko mieniu i bezpieczeństwu państwa i obywateli,

- natychmiastowe pociągnięcie do odpowiedzialności karnej i cywilnej rzeczywistych sprawców afery wódczanej, papierosowej i naruszenia nietykalności posłów chłopskich, jak również tych, którzy przeszkadzali w ujawnieniu prawdy w tej kwestii.

IX. Podjąć natychmiastowe prace nad ustawodawstwem, uniemożliwiającym ograniczenie i likwidację demokratycznych uprawnień obywateli, kształtowanie się nowych, realizowanych kosztem wyzysku ludzi pracy, przywilejów warstw zarządzających życiem kraju na różnych szczeblach, oraz ich korumpowania przez kapitał prywatny, krajowy i zagraniczny.

Niezbędne jest również ustawowe zagwarantowanie pełnej jawności życia społecznego, przede wszystkim w dziedzinie bieżącego informowania społeczeństwa o wysokości dochodów i stanie majątkowym wszystkich odpowiedzialnych pracowników państwowych oraz ich związkach z prywatnymi przedsiębiorstwami i zyskach otrzymywanych z tej racji.

W sytuacji, kiedy niepodważalnym i jedynym źródłem dochodów budżetu państwa, niezależnie od form, w których to występuje, jest nieopłacona praca ludzi żyjących z pracy najemnej, z własnej pracy we własnym gospodarstwie rolnym lub warsztacie rzemieślniczym, należy ustawowo zagwarantować finansowanie przez budżet państwa zawodowych, kulturalnych, oświatowych i sportowych organizacji ludzi pracy miast i wsi.

X. Dotychczasowa dwuletnia praktyka obozu rządzącego, parlamentarna i rządowa, jak również historyczne doświadczenie, dowodzi, że nawet najbardziej demokratyczne ustawodawstwo nie

może gwarantować realizacji interesów pracującej większości społeczeństwa, o ile codzienne życie nie jest poddane jej kontroli. Istnieje więc nieodwołalna konieczność uzupełnienia dotychczasowych konstytucyjnych form kontroli przez system kontroli społecznej w stosunku do wszystkich organów władzy i administracji państwowej oraz gospodarczej od zakładu pracy, wsi, dzielnicy mieszkaniowej poczynając i na szczeblu kraju, kończąc. Podstawę takiego systemu powinny stanowić Komisje Pracownicze, powstające w okresie przygotowywania, wyborów parlamentarnych i wyłaniające swoje przedstawicielstwa, zgodnie z podziałem administracyjnym lub branżowym, szczególną rolę w tej dziedzinie powinny odegrać organizacje związków zawodowych, niezależnie od różnic politycznych między nimi występujących, samorządy pracownicze i inne organizacje społeczne.

Warstwy nowobogackie, żerujące na pogarszającej się sytuacji ekonomicznej kraju i ludzi pracy oraz reprezentująca ich interesy władza, mogli dotychczas bezkrytycznie realizować swoją politykę tylko na gruncie skłócenia i przeciwstawienia różnych oddziałów i warstw pracującej większości społeczeństwa, pacyfikując je za pomocą kłamliwych obietnic lub zastraszania w pojedynkę.

Tylko jednolita akcja ludzi pracy w obronie swoich zagrożonych interesów może zapobiec katastrofy ekonomicznej i społecznej, do której spycha kraj obóz rządzący.

## AWANTURA WOKÓŁ WYBORÓW PARLAMENTARNYCH

W Sejmie nie przeszła uchwała Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego /OKP/, który, podejmując inicjatywę Prezydenta, dążył do wyborów 26 maja 1991r. Za wnioskiem OKP głosowało 92 posłów, przeciwnych było 231, a wstrzymało się 45 osób. Sejm odrzucił również prezydencki projekt zmiany konstytucji, który dopuszczał zachowanie obecnego składu senatu mimo rozwiązania Sejmu. Za odrzuceniem tego drugiego wniosku było 266 posłów, za jego przyjęciem 63, a wstrzymało się tylko 9.

Te decyzje Sejmu były dla niektórych miłym zaskoczeniem, inni przyjęli je ze spokojem, a jeszcze inni gotowi byli organizować manifestacje uliczne przeciwko sejmowi.

Czy to, co się stało w Sejmie, jest przypadkiem, czy też częścią szerszej prowadzonej gry?

Reformatorzy z PZPR i jej satelici obrzydzali masom pracującym socjalizm na różne możliwe sposoby. Jak na prawowiernych chrześcijan przystało, nie obiecywano już biblijnej krainy mlekim i miodem płynącej. Jednakże sens tych, jak i wszelkich obietnic pozostał ten sam. Wyzwoliły one nadzieje ludzi pracy, wynikające z niedoborów "realnego socjalizmu", jednakże propagowana przez ojców "Solidarności" gospodarka rynkowa /kapitalistyczna/ zaspokoić ich nie jest w stanie, gdyż może ona powstać i rozwijać się tylko kosztem ludzi pracy. Ludzie pracy zamiast stopniowej realizacji obietnic i nadziei otrzymali zatem przedłużającą się recesję gospodarczą, politykę dyskryminacji sektora państwowego, zatrudniającego pracującą większość społeczeństwa i wytwarzającego podstawową ilość dóbr materialnych i duchowych, bogacenie się nielicznych jednostek w majestacie znowelizowanego prawa lub pojawiających się "luk prawnych". Rosną fundusze przechwytywane przez niewielką część społeczeństwa, a maleją środki przeznaczone na zaspokojenie potrzeb społecznych /mieszkania, służba zdrowia, szkolnictwo, komunikacja zbiorowa, ubezpieczenia społeczne itp. itd./. Gdy bezrobocie ogarnęło 1,2 mln osób i było 4 razy wyższe ponad wstępne obietnice i przymiarki rządu, to minister pracy i spraw socjalnych Michał Boni /do niedawna szef Regionu Mazowsze NSZZ "Solidarność"/ przepowiadał, że prawdziwe bezrobocie jest

przed nami. Masowe zwolnienia z przedsiębiorstw państwowych, miałyby, zdaniem ministra M. Boniego nastąpić już na przełomie czerwca i lipca /Gazeta Wyborcza nr 65, 22 III 1991/. Miast zapowiadanego przez Balcerowicza półrocznego okresu wyrzeczeń, realna jest perspektywa kolejnego dziesięciolecia wyrzeczeń. Masy pracujące straciły nadzieję na rozwiązanie swych problemów przez solidarnościowy rząd, czego wyrazem jest również słabość "Solidarności" na zakładach pracy. Co więcej, sami liderzy i organizatorzy "Solidarności" zaczęli wątpić w realność głoszonych haseł i skuteczność obranej drogi. W efekcie stanęli oni wobec dylematu: albo, po pierwsze - powiedzieć prawdę narodowi, przyznać się do porażki, odejść i ponieść konsekwencje z powodu prowadzonej polityki, albo po drugie - nie przyznawać się do niczego, udawać że nic się złego nie stało, stłumić w zarodku wszelką krytykę sytuacji gospodarczej, udowodnić poprzez wybory, że ma się "poparcie" narodu, poprawić drogą manipulacji społecznych klimat zaufania do rządu, a następnie podjąć "niepopularne" i "męskie" decyzje w celu rozwiązania lawinowo piętrzących się problemów.

Pierwszy wariant, z uwagi na osiągnięte przez rządzącą ekipę przywileje, naciski międzynarodowego kapitału oraz naciski warstwy nowobogackich, nie wchodzi w grę. Na ten wariant zdecydować mógłby się bezinteresowny ideowiec lub głupiec. Ponieważ w rządzącej ekipie nie ma ani jednych, ani drugich, pozostaje im tylko druga możliwość.

Te wewnętrzne dylematy i ideowo-polityczną demoralizację obecnie rządzącego obozu politycznego najlepiej oddają słowa Andrzeja Kerna /z OKP - Porozumienie Centrum/. Podsumowując ostatni okres polityczny powiedział on: "Los pozwolił nam wziąć udział w niecodziennym, niebywałym i wielkim spektaklu na wielkiej politycznej scenie, nie tylko Polski, ale i Europy. Był to dramat, którego byliśmy aktorami, wszyscy na tej sali. Dramat obserwowany przez miliony ludzi. Ten dramat powoli dobiega końca. Jesteśmy w sytuacji aktorów, którzy jeszcze są na scenie, ale nasze role już się skończyły. Zejdźmy z tej sceny, nim światła rampy jeszcze nie zgasły i nim oklaski jeszcze nie umilkły. W polityce jest bardzo wąska granica między sukcesem a porażką. Zejdźmy odpowiednio wcześniej, aby ominąć tę niebezpieczną smugę cienia" /GW, 11 III 1991/. Nie powiedział jednak tego, kto był reżyserem tego spektaklu i autorem scenariusza - a to jest bardzo ciekawe. Chodzi nie tylko o to, aby odeszli aktorzy i marionetki tego wielkiego dramatu, ale również jego reżyserzy i scenarzyści.

Awantura w Sejmie wokół wyborów parlamentarnych dotyczyła głównie terminu wyborów. Jak wynika z wypowiedzi M. Boniego, termin majowy wyprzedzały planowane pogorszenie się sytuacji na rynku pracy, i z tego punktu widzenia byłby, zdaniem Prezydenta i Porozumienia Centrum, bardziej korzystny. Władza wjeżdżałaby do rzeki na zmienionych koniach. Bo jak niektórym się wydaje, dotychczasowe chabety rządowe nie podążają rosnącemu potokowi żądań socjalnych i ekonomicznych ludzi pracy.

Natomiast termin jesienny, przypadłby na okres lawinowo rosnącego bezrobocia, strajków, a być może i demonstracji ulicznych. Tak więc w tym drugim przypadku, posługując się powyższym porównaniem, konie zmieniano by na środku rzeki. Niebezpieczeństwo byłoby duże. Potwierdza to Aleksander Hall, jeden z przywódców Forum Prawicy Demokratycznej, który uważa, że jesienią rozdzwięk pomiędzy ponurą rzeczywistością, a szczydrze składanymi obietnicami byłby tak wielki, że da poważne szansę dla dzisiejszej postkomunistycznej opozycji.

Tak myślą zwolennicy terminu majowego. Natomiast zwolennicy terminu jesiennego prawdopodobnie uważają, że do jesieni żadnego kataklizmu gospodarczego nie będzie, lub że dzięki redukcji polskiego zadłużenia uda się go odwrócić na "po" wyborach. Zwolennicy terminu jesiennego /m.in. A. Michnik/ chcą zwolennikom "przyśpieszenia" dać czas na skompromitowanie się,

albo inaczej mówiąc, aby zwolennicy przyspieszenia wzięli na siebie pierwsze odium "niepopularnych" i "męskich" decyzji w zaostrzonej sytuacji gospodarczej.

Wiele względów formalnych /napięte terminy, brak należnego czasu na przygotowanie wyborów/ również skłaniały wielu posłów do terminu jesiennego. Sam Wałęsa należał do niedawna do zwolenników terminu jesiennego. Dlatego Jacek Kuroń, dając wyraz powszechnej świadomości tej konieczności, stwierdził, że rządząca ekipa chciałaby, aby to właśnie lewica "wygłosowała" i wzięła na siebie odium z powodu odroczenia terminu majowego. Zapewne z tego względu część Parlamentarnego Klubu Lewicy Demokratycznej /PKLD/, głosowała za terminem majowym razem ze skrajną prawicą i zwolennikami Prezydenta. Trzeba przyznać, że dla "lewicy" było to towarzystwo nie najlepsze. Ale czego się nie robi dla ratowania resztek majątku po byłej PZPR?

Przekonanie rządzących, że ich "ideały sięgnęły bruku" jest powszechne. Znajduje to swój wyraz w propozycji Wałęsy, aby zachować Senat, a dokonać jedynie wyborów do Sejmu, gdyż Senat jest właściwie wybraną i demokratyczną instytucją. Biorąc pod uwagę, że w Senacie nie ma w praktyce żadnej siły opozycyjnej, logiczny jest wniosek, że w wyborach do Sejmu chodzi o wyeliminowanie tych posłów, którzy mogliby zachować swą niezależność i wystąpić krytycznie wobec realizowanej przez rząd i Wałęsę polityki. Chodzi więc w nadciągających wyborach o przekształcenie Sejmu w posłuszne sobie narzędzie, o ukształtowanie Sejmu na obraz i podobieństwo Senatu. Ci, którzy proponują zachowanie obecnego składu Senatu, choć powołują się na posiadane poparcie społeczne, świadomi są jego kurczenia się, i liczą się z możliwością utraty posiadanego w nim monopolu. Dlatego chcieliby zachowania go w nienaruszonym stanie.

Wyrazem ideowo-politycznej demoralizacji rządzącego obozu politycznego i poczucia utraty wpływów w społeczeństwie, a jednocześnie chęci utrzymania władzy za wszelką cenę, są dyskusje nad ordynacją wyborczą. Otóż jesienią 1990 roku Sejm przyjął uchwałę, że przygotowywana ordynacja wyborcza powinna zapewnić podział mandatów proporcjonalnie do liczby otrzymanych głosów. Szansę miałyby wówczas również małe partie i ugrupowania polityczne. Tymczasem zarówno projekt ordynacji przygotowany przez komisję sejmową, jak i otoczenie Prezydenta jest połączeniem ordynacji proporcjonalnej i większościowej. W myśl projektu komisji sejmowej 115 posłów wybierano by w okręgach jednomandatowych, a w każdym z 19 do 24 okręgów wielomandatowych, wybierano by od 14 do 21 posłów z list regionalnych. Natomiast w projekcie prezydenckim zaproponowano 230 okręgów jednomandatowych, a pozostałych 230 posłów wybierano by głosując na listy krajowe, bez możliwości wyrażenia preferencji personalnych co do poszczególnych kandydatów, umieszczonych na tych listach. Obóz prezydencki liczy, że będąc najlepiej zorganizowanym, wobec podziałów w szeregach sojuszników, dysponując 35 do 40 proc. ogółu głosów zyskałby ponad 75 proc. wszystkich miejsc w parlamencie. Taki jest wariant optymistyczny.

Ale w świetle obecnej sytuacji i prognoz jej rozwoju nie ma gwarancji, że tą stosunkowo najlepiej zorganizowaną siłą polityczną nie okazałaby się "Partia X", odsuwając tym samym od władzy rządzący obóz polityczny /Stanisław Gebethner, Życie Warszawy nr 53, 4 III 1991/. Ta właśnie niepewność i nie zorganizowanie obozu rządzącego legła u podstaw decyzji o jesiennym terminie wyborów.

Tworzenie list krajowych i regionalnych jest, w tym wypadku, chęcią zagwarantowania miejsca w przyszłym parlamencie dla osób szczególnie zasłużonych w walce z "komuną", choć nie posiadających osobiście szerszego oparcia społecznego.

Powstaje pytanie: czy Wałęsa kierując projekt swej ordynacji wiedział, że nie uzyska on wymaganej większości w

Sejmie? Jeśli zaś wiedział, to dlaczego pomimo tego skierował go do Sejmu? Czy był to pokaz siły Prezydenta i próba rządów prezydenckich? Czy decyzje Wałęsa podejmował sam, czy też za czyjąś namową?

W obozie rządzącym występują wyraźne wahania. Wyrazem tego jest stanowisko Porozumienia Centrum wspierającego projekt prezydencki i majowy termin wyborów.

Otóż po odrzuceniu przez Sejm projektu prezydenckiego i opowiedzeniu się za jesiennym terminem wyborów, Porozumienie Centrum zapowiedziało organizowanie akcji pozaparlamentarnej na rzecz wyborów majowych. Ponieważ nie spotkało się to z szerszym odzewem społecznym oraz zostało potępione m.in. przez postsolidarnościowy ROAD, zarzucający dążenie do destabilizacji państwa /GW, 11 III 1991/, Porozumienie Centrum zmieniło sens organizowanych akcji - mają one być gwarancją przyjętego przez Sejm terminu jesiennego, czyli jak to ktoś skomentował, jest to walka o to, by słońce wschodziło na wschodzie. Ostatnio jednak i w tej sprawie zachowuje się coraz ciszej.

Jest to jednak tylko częściowa prawda. Porozumienie Centrum tą akcją właściwie przystąpiło do kampanii wyborczej i mobilizacji swych zwolenników, przed wszystkimi innymi partiami.

Uzupełnieniem odpowiedzi na postawione wyżej pytania może być wypowiedź A. Michnika, który stwierdził, że jest to wynikiem "świadomej, zaplanowanej artykulacji destrukcji niszczenia autorytetów". Następstwem destrukcji autorytetów miałyby być "chaos" i dyktatura Wałęsy "na kształt Napoleona". Tak więc Wałęsa i tego otoczenie świadomie spowodowali zamieszanie w Sejmie, aby odłożyć wybory do jesieni. Co przez to zyskiwano? Otóż przypominano w ten sposób Sejmowi i społeczeństwu, że jedyną instytucją wybraną demokratycznie jest Prezydent, i zatem do niego należy monopol na prawdę w polityce. Odsunięcie terminu wyborów potwierdza zamysł przeniesienia do Belwederu środka ciężkości władzy. Rozbudowano już w tym celu Urząd Prezydenta, zwiększono wielokrotnie jego budżet, rozpoczęto tworzenie Rady Politycznej przy Prezydencie.

Jak w tej sytuacji postąpić w nadciągających wyborach do parlamentu?

Czy słuszna jest taktyka bojkotu nadchodzących wyborów? Wydaje się dziś, że nie. Tam, gdzie byłyby ku temu warunki należałoby poprzeć kandydatów niezależnych, nienależących do rządzącego obozu politycznego oraz do jego skrajnie prawicowych satelitów. Uwzględniając doświadczenia ostatnich wyborów prezydenckich, trzeba pamiętać, że każdy niezależny kandydat na posła spotka się ze zdecydowaną krytyką, niezależnie od tego, czy na nią zasługuje, czy też nie. Nie można więc będzie dawać wiary "demokratycznej" prasie obozu rządzącego, posługującej się kłamstwem i oszczerstwem. Należy przy tym uwzględnić fakt, że w łonie obozu solidarnościowego zachodzą istotne przewartościowania i kształtują się nowe podziały ideowo-polityczne. Nie wykluczone, że trzeba będzie wybierać przysłowiowe mniejsze zło, aby zagrozić drogę ugrupowaniom bardziej prawicowym, chcącym przywrócić w znowelizowanej formie polowania na czarownice.

Nawet wobec posłów niezależnych nie można być bezkrytycznym. Wszystkich kandydatów do parlamentu należy zmuszać do przyjmowania na siebie, jak największych zobowiązań wobec potrzeb i interesów ludzi pracy, nawet jeśli wiadomo, że i tak dotrzymane nie będą. Tylko tą długą drogą można ich demaskować i przygotowywać warunki pod przyszłe zwycięstwa ludzi pracy.

**Obserwator**

## III ZJAZD NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” I JEGO WYNIKI

III Zjazd NSZZ "Solidarność", obradujący w lutym 1991 roku, odbył się w trudnych dla ludzi pracy warunkach społeczno-ekonomicznych i politycznych. Towarzyszył mu niekorzystny stan nastrojów społecznych w samej "Solidarności". Czy Zjazd, mógł przynieść rozwiązanie stojących przed "Solidarnością" dylematów ideowo- programowych? Czego wyrazem są dokonane na Zjeździe decyzje personalne?

U podłoża wszelkich niekonsekwencji i wahań w działaniu, rozłamów i manipulacji politycznych leżą bez wątpienia sprzeczności interesów w samej "Solidarności" i wśród jej klienteli, wyrastające na tej bazie przeciwstawne cele oraz zróżnicowane poglądy na sposoby ich realizacji.

W 2 milionowej "Solidarności" mamy, z jednej strony - szerokie masy członkowskie ludzi pracy najemnej, którzy w 1980 roku z "Solidarnością" związali nadzieję na szybką poprawę swego losu, lepsze zaspokojenie swych potrzeb materialnych i duchowych, większą troskę władzy o ochronę zdrowia i sprawy socjalne, zdecydowaną poprawę warunków mieszkaniowych, awans cywilizacyjny i kulturowy, likwidację przywilejów warstwy zarządzającej wszystkimi dziedzinami życia społecznego. Ludzie ci przeżywają teraz gorzkie chwile rozczarowań i zwątpienia, czują, że zostali oszukani i nie mają szans na wyjście z recesji i stagnacji. W takiej sytuacji coraz mocniej akcentują konieczność zachowania niezależności wobec rządu i jego polityki.

Natomiast po drugiej stronie mamy - stosunkowo wąską grupę działaczy i przywódców "Solidarności" wraz z ich intelektualno-doradczym zapleczem, którzy dostrzegają rosnące niezadowolenie społeczne, ale nie chcą zrezygnować z obranego kursu politycznego i ekonomicznego. Zdobyte z racji sprawowania władzy przywileje, naciski międzynarodowego i rodzimego kapitału, wpływy warstwy nowobogackich i całej zgrai cwaniaków, liczących na łatwe wzbogacenie się kosztem ludzi pracy, osobiste uwikłanie się w funkcjonowanie licznych spółek – nie pozwalają im przyznać się do niepowodzenia i w istocie świadomego oszukiwania ludzi pracy i masy szeregowych członków "Solidarności", dzięki którym objęli stanowiska państwowe. Dostrzegane jest to w samej "Solidarności". Dlatego Mirosław Mironowicz pisze, że dla wielu "...podszywanie się pod etos i organizację Solidarności często bez żadnego z nią związku ideowego, więzi uczuciowej, a tym bardziej formalnej, ułatwiło drogę do kariery" /Tygodnik Solidarność, nr 6 z 28 III 1991/.

Przywódcy "Solidarności" znaleźli się na rozdrożu, gdyż z jednej strony - dokonali wielkiego dzieła, pokierowali rozgoryczonymi masami pracującymi w zwycięskiej walce z tzw. realnym socjalizmem, a z drugiej strony - spostrzegli, że w miarę pogłębiania się procesów "dekommunizacyjnych" tracą poparcie mas pracujących. Antykomunistycznych igrzysk obóz rządzący masom nie załuje i będzie ich chyba jeszcze więcej, ale z przysłowiowym chlebem ma ciągle kłopoty. Stąd też podstawowym zadaniem na kolejnym etapie będzie spacyfikowanie narastających socjalno-ekonomicznych i politycznych żądań mas pracujących, a jednocześnie stworzenie warunków dla utrwalenia kapitalizmu. Znalezienie jednak właściwych sposobów i metod realizacji zadań kolejnego etapu nie jest sprawą łatwą. Mirosław Mironowicz na łamach "Tygodnika Solidarność" stwierdza otwarcie, że "Solidarność nie ma tożsamości programowo-organizacyjnej", a "Brak programu związku uniemożliwia zdefiniowanie stanowiska dotyczącego przebiegających w Polsce przemian, a więc zdefiniowania swoich postulatów wobec pracodawców i urzędów państwowych" /TS, nr 6, z 8 II 1991/.

Jedni polityczni przywódcy "Solidarności"<sup>1</sup> w składną słusznych żądaniach ekonomicznych ludzi pracy, gotowi są widzieć siłę powstrzymującą reformy polityczne i ekonomiczne, grożącą "samobójstwem dla polskiej gospodarki" /Jan Rulewski, TS, nr 7, 15 II 1991/.

Inni, jak Józef Orzeł na łamach Tygodnika Solidarność uważają, że wzrost nacisków płacowych i likwidacja popiwku, może sprawić, iż gospodarkę rynkową "diabli wezmą", "NSZZ Solidarność i solidarność zniknie" i wszystko trzeba będzie zaczynać "...od początku - od Gierka, a może i od Gomulki" /TS, nr 7, 15 II 1991/. Z kolei Zbigniew Bujak /człowiek-legenda "Solidarności", obecnie z socjaldemokratycznego skrzydła ROAD-u/ miał powiedzieć na spotkaniu z mieszkańcami Krakowa, że popieranie planu Balcerowicza grozi wyrzuceniem na margines polityczny, i że "Niedługo plan Balcerowicza będzie mógł być realizowany tylko za pomocą siły" /Gazeta Wyborcza z 27 III 1991/. "Solidarność Pracy", 9-osobowe koło parlamentarne /w skład którego wchodzi m.in. J. J. Lipski, K. Modzelewski, R. Bugaj, A. Małachowski /, postanowiła wystąpić z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego /OKP/. Poseł A. Mikołowski oświadczył: "nie zamierzamy firmować dłużej popieranej przez OKP neo-liberalnej polityki gospodarczej, która doprowadzi kraj do ruiny i eksplozji społecznej, oraz - w moim przekonaniu - do prawicowej dyktatury w Polsce" /Polityka, nr 14, 6 IV 1991/.

Negatywne efekty polityki gospodarczej, prowadzonej przez grupę działaczy formalnie wywodzących się z "Solidarności", odczuwane są przede wszystkim przez ludzi pracy przedsiębiorstw państwowych, wobec których, wbrew oczywistym interesom narodowym, proklamowano ostatnio restrykcyjną politykę podatkową i finansową. Naturalną zatem rzeczą jest odchodzenie wielu uczciwych działaczy od "Solidarności" wałęsowskiej /Krzaklewskiego/ i powstanie "Solidarności - 80" /z Marianem Jurczykiem/, Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża /z Anną Walentynowicz/, czy wspomnianej już "Solidarności Pracy" /z Ryszardem Bugajem/, które zarzucają "Solidarności" wałęsowskiej zdradę ideałów sierpnia 1980 i deklarują zdecydowaną walkę o interesy ludzi pracy. III Zjazd nie próbował nawet przezwyciężyć istniejących podziałów.

Następstwem dotychczasowej polityki ekonomicznej jest również ciągle słabnąca pozycja Komisji Zakładowych "Solidarności", czemu próbują one przeciwdziałać, organizując strajki i podejmując, wbrew swoim przywódcom, współpracę ze związkami OPZZ. "Solidarność" w opinii samych jej przywódców jest kołosem na glinianych nogach. "Te gliniane nogi - to oczywiście komisje zakładowe; wpływy w fabrykach często wynikają z układu politycznego, a nie z liczby członków. /.../ ten układ polityczny może się szybko zmienić i wtedy będą się liczyć tylko realia. Na szczęście Bóg uchronił nas przed Tymieńskim" /Andrzej Słowik, TS, nr 6, 8 III 1991/. /To, że ta opatrność boska objawiała swoją wolę poprzez kłamstwa i pomówienia rządowej propagandy, pozostaje poza jego polem widzenia/.

Wyrazem zaprzędania przez przywódców "Solidarności" interesów robotników i ludzi pracy umysłowej, wbrew pierwotnym hasłom i obietnicom, jest z jednej strony, dążenie do tłumienia niewygodnych dla kapitału ekonomicznych żądań ludzi pracy, a z drugiej - tworzenie na bazie "Solidarności" partii politycznych, które wzięłyby na siebie dalsze kierowanie walką o kontynuowanie burżuazyjnych przemian w ekonomice oraz zdecydowaną polityczną obronę kapitalizmu w Polsce. Ponieważ "Solidarność" pozostaje nadal podstawowym i najsilniejszym zapleczem ekipy rządzącej, a burżuazyjny system partyjny jest w stanie tworzenia się, ekipa ta toleruje jeszcze polityczne ambicje "Solidarności", zdając sobie sprawę z tego, że stanowi ona dla niej potencjalne niebezpieczeństwo /choć daje się słyszeć głos A. Michnika, iż "Solidarność jest już trupem" / i przeciwstawia się jednocześnie wzrostowi jej wpływów. Jest to czynione świadomie i z premedytacją. "Dostrzega to nawet Komisja Zakładowa w Stoczni

Gdańskiej /kolebce "Solidarności"/, która stwierdziła: "Rząd nie przyjmując postulatów NSZZ =Solidarność=, świadomie dąży do utraty wiarygodności związków w zakładzie. Strajk w Stoczni Gdańskiej winien być ostrzeżeniem o wyczerpywaniu się społecznego przyzwolenia na tak prowadzoną reformę" /Przegląd Tygodniowy, nr 13, 31 III 1991/.

Można więc było się spodziewać decyzji Zjazdu o odrzuceniu projektu uchwały wprowadzającej niekorzystny dla Komisji Zakładowych podział funduszy pochodzących ze składek członkowskich oraz wysunięcia postulatów obrony "najsłabszych".

Opinię o ignorowaniu postulatów związkowych potwierdza po III Zjeździe M. Krzaklewski, który mówi, że lekceważone uchwały "odbijają się jak groch o ścianę" /Polityka, nr 13, 30 III 1991/. Sytuacja jest jednak tego rodzaju, że z jednej strony, ekipa rządowa wywodząca się z "Solidarności", nie może jeszcze otwarcie powiedzieć, iż postulatów ludzi pracy nigdy nie miała zamiaru realizować, i "Solidarność" była dla niej jedynie środkiem do walki z "komuną". Gdy zadanie obalenia "komuny" uzna za wykonane, wówczas "Solidarność" przestanie jej być potrzebna. Z drugiej strony - Komisje Zakładowe, po powołaniu solidarnościowego rządu, pozbawione zostały merytoryczno-programowej pomocy i same nie są w stanie właściwie sformułować i przeforsować mnożących się postulatów pracowniczych, wykraczających poza wąski horyzont czasowo-przestrzenny.

Z obawy przed narastającymi rewindykacyjnymi tendencjami ludzi pracy, niektórzy kandydaci na przewodniczącego przed III Zjazdem "Solidarności" proponowali, aby "Solidarność" ubiegała się jedynie o 10% miejsc w przyszłym parlamencie /Lech Kaczyński, Andrzej Słowik/, a inni w obawie przed OPZZ i innymi siłami "postkomunistycznymi" proponowali, aby związek podjął walkę o jak najlichnieszą reprezentację "Solidarności" w przyszłym parlamencie lub o miejsca w Senacie, którego opowanie daje możliwość blokowania Sejmu /Bogdan Borusewicz/. Andrzej Słowik ujawnił, iż były nawet propozycje pozbawienia związków zawodowych prawa zgłoszenia kandydatów do parlamentu. Oto są wyżyny, na jakie wzniosła się myśl programowa "demokratów", "reformatorów", "obrońców praw człowieka i obywatela". O ile kiedyś deklarowano chęć walki o interesy "robotników" i innych ludzi pracy, o tyle obecnie pojawia się strach i lęk przed nimi.

W dalekosieżnych planach obecnie rządzącej ekipy przewidywana jest marginalizacja roli "Solidarności" lub nawet jej likwidacja, gdyby wystąpiła ona zdecydowanie w interesach ludzi pracy. Na III Zjeździe zwyciężyła koncepcja ograniczonej reprezentacji parlamentarnej "Solidarności". L. Kaczyński odsłaniając nieco przed Zjazdem tajniki tej manipulacji powiedział, że zbyt duża reprezentacja "Solidarności" w parlamencie może "...zablokować na poziomie zakładu - reformę gospodarczą, na poziomie regionu - normalny rozwój partii politycznych i suwerenność samorządu terytorialnego. Solidarność pozostanie jeszcze przez jakiś czas gwarantem reformy politycznej. Gdyby jej coś groziło, to musi być jakaś siła rezerwowa, która będzie w stanie reformę polityczną obronić. I ta siła powinna opierać się na zakładach pracy." /TS nr 5, 1 II 1991/.

Wielu działaczy "Solidarności" mniej lub bardziej świadomie stwierdza, że "Solidarność" nie wykonała jeszcze swego zadania. W obecnej sytuacji, jako lekarstwo na wszelkie płacowe i społeczne problemy ludzi pracy, ekipa rządząca zaleca prywatyzację i reprivatyzację polskiej gospodarki. Do stwarzania i podtrzymywania tych prywatyzacyjnych iluzji, oraz do przeprowadzania ich w praktyce, ma służyć w dalszym ciągu "Solidarność". "Rewindykacyjność związku - stwierdza bez ogródek Jan Rulewski - powinna polegać /.../ na ekonomicznej opozycji do pracodawcy, właściciela. W naszej złożonej sytuacji, gdzie pracodawcą ciągle jest rząd, my musimy pomóc w

doprowadzeniu do stanu, w którym właścicielem będzie rzeczywisty, zbiorowy bądź indywidualny kapitalista" /TS, nr 7, 15 II 1991/.

Jan Rulewski potwierdza tym samym, że działacze "Solidarności" dobrze przyswoili sobie starą marksistowską tezę o tym, że na obecnym etapie rozwoju społecznego prywatna własność środków produkcji jest podstawą burżuazyjnych stosunków społecznych i politycznych. A pomyśleć, że tezę tę, nie tak dawno negowało wielu "otwartych marksistów" i "reformatorów" z PZPR.

Długo by szukać u Rulewskiego i innych wyjaśnienia sprzeczności pomiędzy powyższym stwierdzeniem, a tym, że obecnie "...w ogóle brakuje postawy rewindykacyjnej wobec niemałego już sektora prywatnego" /Jan Rulewski/. Podobnie też członkowie "Solidarności" nie znajdują w swoich dokumentach stwierdzenia, że prywatyzacja i reprivatyzacja największych zakładów pracy może się dokonać tylko kosztem milionów /w tym oczywiście, także kosztem członków "Solidarności"/ - choć to jest tak pewne, jak amen w pacierzu.

Chęć utrzymania dotychczasowej linii politycznej NSZZ "Solidarność", potwierdził nowo wybrany przewodniczący, który stwierdził, że "związek nadal musi być parasolem nad Polską" i "pełni rolę gwaranta reform demokratycznych i gospodarczych" /Polityka, nr 13, 30 III 1991/.

Jedną z najważniejszych kwestii, jakie stanęły przedni Zjazdem, były wybory, na miejsce Wałęsy, nowego przewodniczącego związku. Czego dowodzą wyniki wyborów, odbiegające od zamiarów Wałęsy, jak i Porozumienia Centrum?

W szranki wyborcze stanęło 7 kandydatów. W trzeciej turze wyborów o pierwszeństwo rywalizowali Marian Krzaklewski i Lech Kaczyński. Ostatecznie zwyciężył Krzaklewski, uzyskując 51,27% głosów. Sam mówi, że o sukcesie zdecydowało wyraźne usytuowanie jego osoby "poza układami politycznymi i związkowymi" /TS, nr 9, 1 III 1991/. To zwycięstwo ma według niego umocnić niezależny i związkowy charakter "Solidarności" /Polityka, nr 13, 30 III 1991/.

Krzaklewski miał poparcie ROAD-u i Unii Demokratycznej oraz głosy z dużych regionów. Dają się słyszeć nawet głosy, że Krzaklewski należał do "antywałęsowskiego" skrzydła "Solidarności" i że teraz rozpocznie się "odwaśnienie" związku. Kaczyński miał natomiast poparcie przedstawicieli Porozumienia Centrum. Bardzo znamienne jest to, iż 8,5% delegatów głosowało przeciwko obu kandydatom - i zapowiada dalsze perturbacje w związku.

W wyborach przegrał faworyzowany przez Wałęsę Bogdan Borusewicz z Regionu Gdańskiego, czego można było się spodziewać po niemrawych okłaskach, jakie Wałęsa otrzymał po swoim przemówieniu. Ponieważ z Prezydentem lepiej nie iść na udry, Krzaklewski liczy na dobrą współpracę z B. Borusewiczem.

Krzaklewski wyeliminował też ludzi związanych z legendą "Solidarności": Tadeusza Jedyńską, Jana Rulewskiego i Andrzeja Słowika, a także mniej znanego Stanisława Węglarza.

Podstawową sprzecznością rozdzierającą "Solidarność" jest sprzeczność pomiędzy interesami zrzeszonych w niej ludzi pracy, a wyrażanymi przez jej przywódców interesami kapitału międzynarodowego, spółek starej i nowej nomenklatury, cwaniactwa i kombinatorstwa w majestacie znowelizowanego prawa. Decyzje III Zjazdu są wynikiem tej antagonistycznej sprzeczności, pewnym chwilowym kompromisem pomiędzy tymi dwoma tendencjami, nie dając żadnego trwałego rozstrzygnięcia.

Ponieważ sprzeczności ekonomiczne i polityczne w "Solidarności" coraz bardziej dają znać o sobie, antykomunizm pozostaje nadal /nie wiadomo na jak długo go starczy/ podstawowym spoiwem rozpadającego się związku. Stąd też w jednej z uchwał III Zjazdu zaproponowano zakaz zatrudniania funkcjonariuszy byłej PZPR i jej młodzieżowych przybudówek w oświacie. Nie sprecyzowano, o jakich funkcjonariuszy chodzi, zapominając, że jest to naruszeniem powszechnych praw politycznych, gwarantowanych przez prawo międzynarodowe. Do

przyjęcia tej uchwały, jak na ironię, zabrakło quorum na Zjeździe - czyli wymaganej statutem liczby obecnych na sali.

W "Solidarności" jeszcze wiele zdarzyć się może, tym bardziej, że jak napisał "Tygodnik Solidarność" z 1 III 1991 roku, "niebawem anemicznie" odśpiewano "Jeszcze Polska nie zginęła", zaś w uchwale Zjazdu sprzeciwiono się wykorzystywaniu flag narodowych przy wszelkich akcjach protestacyjnych.

**Związkowiec**

## OBLICZE POROZUMIENIA CENTRUM

W ostatnim okresie na czoło walczących z pokonaną "komuną" wysunęło się Porozumienie Centrum, pretendujące do roli najważniejszej partii postsolidarnościowej. Zaproponowało ono oczyszczenie struktur politycznych i gospodarczych z sił "postkomunistycznych", rozliczenie z "nomenklaturą" i spółkami nomenklaturowymi. Zgłosiło nawet propozycję, aby Sejm przyjął ustawę pozbawiającą funkcjonariuszy byłej PZPR prawo do zajmowania stanowisk publicznych. W ten sposób "komunizm" i to, co po nim pozostało, mógłby być zwalczany oficjalnie przez aparat państwowy, a ideał neutralności ideologicznej i światopoglądowej państwa, głoszony swego czasu przez "Solidarność", mógłby znaleźć się na właściwym miejscu - tzn. na śmietniku.

Dlaczego właśnie teraz wojujący antykomunizm staje się sztandarem politycznym Porozumienia Centrum?

Bez wątpienia główną przyczyną jest pogarszająca się sytuacja gospodarcza, spadek produkcji materialnej, ubożenie milionów ludzi pracy, rosnące niezadowolenie społeczne itd., itp., za którą to sytuację główną i bezpośrednią odpowiedzialność ponosi obóz solidarnościowy. Na tle tej sytuacji powszechnie krytykowanej, doszło w łonie tego obozu do podziału w kwestii dróg dojścia do tego samego celu, jakim jest restauracja kapitalizmu. Jedni bardziej dalekowzroczni i cieszący się poparciem kapitału międzynarodowego, opowiedzieli się za ewolucyjnymi przemianami społeczno-ekonomicznymi, za "siłą spokoju", za konsekwentną realizacją dotychczasowej polityki. Natomiast **drudzy** - jak np. Porozumieniu Centrum - liczący się prawdopodobnie z możliwością gwałtownego wybuchu niezadowolenia ludzi pracy, postanowili być bardziej ofensywni i wykorzystać niezadowolenie dla przyspieszenia realizacji dotychczasowego programu. Jednakże po pół roku "przyspieszania" okazało się, że przyspieszyć zubożenia mas pracujących, bez specjalnych zabiegów, na razie się nie da.

Aleksander Małachowski ze smutkiem konstatuje, że "...zwycięstwo nad komunizmem skończyło się straszliwą klęską zwyciężonych". Zwycięscy nad "komuną" zupełnie zlekceważyli socjalno-ekonomiczne i kulturalne potrzeby ludzi pracy. Stąd też "Kiedy nareszcie potworna komuna padła trupem, obok niej legły pokotem, równie nieżywe: gospodarka, kultura, rzemiosło, nauka, prasa co wartościowsza, no i główna ofiara Kościół katolicki, który po raz pierwszy spotkał się z masową odmową poparcia finansowego" /Po Prostu, nr 14, 4-11 IV 1991/.

Prezydent i Porozumienie Centrum nie są w stanie dotrzymać demagogicznych zobowiązań, składanych ludziom pracy podczas wyborów prezydenckich. Świadomość możliwości klapy na całej linii jest powszechna. Zaostrza to dodatkowo sprzeczności w łonie obozu solidarnościowego i "postsolidarnościowego". Pojawia się realne niebezpieczeństwo, że zwycięski obóz belwederski nie odniesie zwycięstwa w wyborach do parlamentu. Największym zagrożeniem dla obozu belwederskiego i Porozumienia Centrum są przymusowi sojusznicy z wyborów prezydenckich, którzy faktycznie zostali wówczas pokonani.

Porozumienie Centrum obawia się, że solidarnościowi sojusznicy mogliby uzyskać poparcie tzw. sił postkomunistycznych, wyeliminować je z walki parlamentarnej i ograniczyć rolę lansowanego na męża opatrnościowego marionetkowego Prezydenta,

Dlatego Jarosław Kaczyński mówił, że najlepiej byłoby, aby niezadowoloną część społeczeństwa w parlamencie "reprezentowała socjaldemokracja, która nie jest postkomunistyczna /.../. Walka o tę część elektoratu ze strony autentycznej niekomunistycznej socjaldemokracji byłaby rzeczą i politycznie pożyteczną, i /.../ nie pozbawioną pewnych szans.

W tej chwili ta sfera polityczna zagospodarowywana jest przez Tymieńskiego, a po części przez Cimoszewicza, czy OPZZ-owskie Ruch Ludzi Pracy. Lepiej, żeby ten elektorat zagospodarowywała wyrosła z lewicy solidarnościowej socjaldemokracja" /Polityka, nr 13, 30 III 1991/.

Pogarszająca się sytuacja ekonomiczna milionów ludzi pracy i rozpoczęta kampania wyborcza do parlamentu stanowią o tym, że rozpoczął się nowy etap rozwoju politycznego kraju. Porozumienie Centrum uznało, że na kolejnym etapie ujarzmienia mas pracujących i mobilizacji klienteli wyborczej, skutecznym środkiem okaże się wojujący antykomunizm. Ludzie z obozu belwederskiego wcale nie ukrywają swych motywacji. Zdzisław Najder wyklada kawę na ławę: "To prawda, że przeciętny obywatel bardziej przejmuje się sprawami bezrobocia i rosnących cen, ale "rozrachunek z komunistami to bardziej owocne pole dla inicjatyw komitetu /obywatelskiego/ niż gospodarka". Dlatego rządzący obóz polityczny podjął działania, aby w wyborach rywalizujące ugrupowania nie podjęły problemu stanu gospodarki narodowej i odpowiedzialności za jej katastrofę.

Myliłby się jednak ten, kto twierdziłby, że problemy gospodarcze są "odpuszczone" przez rząd, pozostawione same sobie. Obszerne trudności gospodarcze i socjalno-ekonomiczne problemy mas pracujących są organiczną częścią, a właściwie podstawowym środkiem realizacji planu powszechnej prywatyzacji i reprivatyzacji przedsiębiorstw państwowych. W oparciu o instrukcje rządowe stworzono cały system nacisku i zachęt do prywatyzacji i reprivatyzacji zakładów pracy. Od kierunku przemian gospodarczych rząd nie widzi możliwości odwrotu. Porozumienie Centrum szerzy w takiej sytuacji mit, że skoro dotychczasowa realizacja "słusznego programu" nie przyniosła masom poprawy bytu materialnego, to jedynym wyjściem jest rzekomo przyspieszona realizacja tego samego programu. Tymczasem w rzeczywistości odrzucone muszą być przez masy nie tylko wszelkie metody realizacji tego programu, ale i sam program.

Wśród mas pracujących powszechne są przekonania, że jedna "banda" odeszła a przyszła inna. Porozumienie Centrum uznało, że na nowym etapie nie uwiarygodni siebie, ani nie pozyska pozostałej części obozu solidarnościowego, jeśli nie rozprawi się z "nomenklaturą" byłej PZPR i spółkami nomenklaturowymi. Stąd też krytyka "grubej kreski" proklamowanej swego czasu przez T. Mazowieckiego.

Porozumienie Centrum jest świadome tego, że sojusz obozu solidarnościowego z "nomenklaturą" był historyczną koniecznością. Jacek Maziarski w telewizyjnej audycji "100 pytań..." stwierdził nawet, że przy Okrągłym Stole zawarto nieformalną umowę, w wyniku której za cenę pokojowego oddania władzy przez ekipę Jaruzelskiego, jej "nomenklatura" uzyskała zgodę na tworzenie licznych spółek kosztem zakładów państwowych. Ponieważ zubożenie ludzi pracy postępowo, a bogactwo tych spółek rosło szybko, tzw. nomenklatura stała się przysłowiową kulą u nogi, dalszy sojusz z nią stał się wręcz kompromitujący, choć ta od lat jest szermierzem kapitalizmu.

Porozumienie Centrum nie zamierza rezygnować ze swych dalekosiężnych celów. Chodzi mu jedynie o skanalizowanie niezadowolenia "ludzi pracy z powodu rosnących ich kosztem fortun na spółki nomenklaturowe: "...nie można budować nowej



klasy średniej z tych, co się nakradli, zakładając spółki w oparciu o majątek państwowy" /J. Kaczyński, GW, 5 III 1991/. Efektem tych zmian może więc być tylko wymiana ludzi "niewiarygodnych" na "swoich", czyli "zadośćuczynienie moralne" dla "społeczeństwa".

Czy walka z "nomenklaturą" i ze spółkami nomenklaturowymi ma szansę powodzenia?

Stało się publiczną tajemnicą, że spółki nomenklaturowe świadczą znaczne sumy na funkcjonowanie Kościoła. Czy można więc wierzyć w skuteczność walki partii chadeckiej z takimi spółkami?

Na tle proklamowanej przez Porozumienie Centrum walki z "nomenklaturą", spółkami nomenklaturowymi oraz walki o ograniczenie praw politycznych funkcjonariuszy byłej PZPR, powstały istotne rozbieżności w obozie solidarnościowym.

T. Mazowiecki, autor "grubej kreski", wystąpił przeciwko projektowi ustawy dekomunizacyjnej. "Uwalnianie Polski od pozostałości systemu totalitarnego dokonuje się - i nadal powinno być dokonywane - w drodze demokratycznych wyborów do ciał przedstawicielskich, a nie przez represje i ograniczanie praw obywateli. Realizacja takiego pomysłu byłaby sprzeczna z Paktem Praw Obywatelskich i konwencjami międzynarodowymi, których Polska jest sygnatariuszem". Dalej zaś, odsłaniając programową słabość Porozumienia Centrum, stwierdził, że "Komunizm już został obalony, a licytowanie się, w antykomunizmie jest formułą zastępczą, kiedy nie jest się zdolnym sformułować dla Polski programu, który byłby skierowany naprzód, a który może być tylko trudny" /GW, nr 54, 5 III 1991/.

W tym samym duchu wypowiedział się "Redaktor" w „Po Prostu”. Zarzucił on Porozumieniu Centrum chęć postawienia byłych członków PZPR "poza nawiasem wielu zgoła demokratycznych praw człowieka i obywatela. Akt ten - dodawał - oznacza odrzucenie konstytucyjnej zasady równości wobec prawa, wiele podpisanych przez Polskę konwencji międzynarodowych, wiele zasad prawnych ustanowionych przez Radę Europy, które musimy uznać, jeśli chcemy do niej przystąpić. Jest to w istocie akt nihilizmu prawnego, zakorzeniony w mrocznych pokładach totalitaryzmu". Porozumienie Centrum miało w ten sposób przekroczyć "myślowe, strategiczne horyzonty Solidarności" /Po Prostu, nr 21, 21 III 1991/.

W podobnym duchu wypowiedział się znany ze swego antykomunizmu Jerzy Szperkowicz: "Pomysł wykluczenia byłych PZPR-owców na 10 lat z życia publicznego jest politycznie pijany, a moralnie szalbierski. Pomysł ten i jego autor zasługują na wyśmianie nie tyle z litości dla byłych ideowców z PZPR, co przede wszystkim dlatego, że to pułapka. PZPR nie została na razie uznana za organizację zbrodniczą i na to się nie zanosi. Zatem Porozumienie Centrum w uchwale swego I Kongresu o dekomunizacji kraju wzywa do bezprawia" /GW, 12 III 1991/.

Ci przeciwnicy ustawy dekomunizacyjnej nie mówią tego z powodów ideowych. Po pierwsze - osłaniają pezetpeerowskich protektorów i promotorów obozu solidarnościowego, a pośrednio więc siebie. Po drugie - wobec pogarszających się warunków życia dużej części społeczeństwa, coraz natarczywiej powraca wspomnienie dawnych "lepszych czasów" - lepiej więc nie drażnić tej części opinii publicznej, bo a nóż hasło "komuno wróć" nabierze niebezpiecznego kształtu, a prześladowana "nomenklatura" stanie się symbolem ucisku. Nie powinno więc dziwić nikogo, to, że przeciwko zamiarowi wprowadzenia ustawy dekomunizacyjnej opowiedział się Rzecznik Praw Obywatelskich, a także Zarząd Główny Zrzeszenia Prawników Polskich.

Porozumienie Centrum, pomimo wysunięcia przeciwko niemu zarzutu postawienia się poza obozem solidarnościowym, nie zmieniło swego stanowiska. Zapowiedziało jedynie, że opracowywany jest "bardzo wyważony" projekt ustawy dekomunizacyjnej /J. Maziarski/. W sukurs dla Porozumienia Centrum przyszedł Roman Bartoszcze /PSL/. Kompromitując się w oczach własnej partii, złożył oświadczenie, w którym rozprawia się

ze "współpracownikami dawnej władzy" w szeregach PSL. "Stanowczo chcę stwierdzić, że z tymi osobami jest nam nie po drodze. Ci ludzie muszą odejść, nawet gdyby organizacja miała stopnić do 10 tys. członków. Tego wymaga polska racja stanu. Ludzie ci bowiem przez swe działanie sami pozbawili się wiarygodności. Ukazali swą twarz jako prawdziwi komunistyczni zeteselowscy. /.../ Polskie Stronnictwo Ludowe musi być uwolnione od komunistycznej lewicy " /Polityka, nr 13, 30 III 1991/.

Na bazie wojującego antykomunizmu do Porozumienia Centrum doszłusował Krajowy Komitet Obywatelski, wspólnie z którym, apelując do członków i struktur "Solidarności", utworzono Obywatelską Koalicję "Centrum". Zażądano ujawnienia list konfidentów byłej Służby Bezpieczeństwa /SB/ /konfidenti Urzędu Ochrony Państwa są pod ochroną/, wezwano do całkowitego zerwania więzów z systemem "komunistycznym". "Komunista zawsze chce źle - mówił podczas tępo spotkania senator Leszek Piotrowski - i dlatego trzeba ich zwalczać, aż do zwalczenia całkowitego" /GW, nr 83, 9 IV 1991/.

Porozumienie Centrum zadeklarowało się jako partia chadecka, ludowa i liberalna. Deklaracja ludowo-liberalna ma ułatwić Porozumieniu Centrum dotarcie do niektórych środowisk inteligencji i niektórych grup pracowniczych. Polityczny sens deklaracji chadeckości został zdemaskowany przez samych członków obozu solidarnościowego, który przecież jest wielką chadecją. Dla Porozumienia Centrum chodzi jedynie o wykorzystanie wizyty papieża jako dobrego wstępu do kampanii wyborczej i ewentualnego dzierżenia władzy w kraju, w którym panującą jest religia rzymskokatolicka. Porozumienie Centrum miałoby jedynie "obcinać kupony" z uniesienia religijnego, jakie opanuje wtedy wielu Polaków. Jest przy tym wiele znamienne, że Porozumienie Centrum pomija milczeniem fakt, iż część Klubu Lewicy Demokratycznej, była również za wyborami; w terminie majowym, w zamian za obietnicę uchronienia części pozostającego w gestii socjaldemokracji majątku po byłej PZPR.

Ernest Skalski, porównując ze sobą Porozumienie Centrum i ruchy chrześcijańsko -narodowe pisał: "Programy tych chrześcijańskich ugrupowań oparta są głównie na koncepcji wroga, kimkolwiek by on był. Kreują go i wyszukują". "Wróg i walka z nim to jedyny konkret, wokół którego działacze tych ruchów próbują wywołać jakieś nastroje społeczne", "...z lektury ich enuncjacji nie odnosi się wrażenia, by autorzy przeczytali choćby kilka ostatnich encyklik społecznych". "Deklaracja chrześcijańskości PC zbiegła się z gwałtowną erupcją zaciekłości" /GW, nr 70, 23 III 1991/.

Z kolei "Redaktor" w "Po Prostu" pisał pod adresem Porozumienia Centrum: "Duch rewolty wystąpił również przeciwko Kościołowi: rebelia przemyska została zorganizowana przez ludzi PC, jakby na cześć zjazdu, a godzi ona ostatecznie w Jana Pawła II, w najgłębsze wartości chrześcijańskie. Jest to również cios starannie wymierzony w stosunki polsko-ukraińskie. Propozycja kongresu PC jest w wielkiej mierze skierowana do politycznego motłochu i do ludzi, którzy mogą się stać motłochem " /Po Prostu, nr 21, 21 III 1991/.

Porozumienie Centrum nie jest w rzeczywistości ani partią chadecką, ani partią liberalną. Jest o wiele bardziej "na prawo" niż współczesne partie chadeckie. Wśród liczących się ugrupowań politycznych, Porozumienie Centrum jest partią najbardziej prawicową, reakcyjną, antydemokratyczną i opowiadającą się za reżymem wobec ludzi pracy, walczących o swoje słuszne prawa socjalno-ekonomiczne i polityczne.

**Mariusz Korcz**

## KOŚCIÓŁ KATOLICKI A POLITYKA

Nasilająca się i coraz wyraźniej przybierająca charakter jawnego dyktatu politycznego, ingerencja kleru katolickiego we wszystkich dziedzinach życia publicznego w Polsce wywołuje rosnące zdumienie i opór, zarówno wierzących, jak i niewierzących. Praktyka codziennego życia staje w zasadniczej sprzeczności z iluzjami i złudzeniami, że działalność Kościoła może i powinna ograniczać się wyłącznie do spraw kultu i posług charytatywnych. Praktyczne urzeczywistnienie tych złudzeń oznaczałoby, bowiem, zarazem całkowite urzeczywistnienie światopoglądowej wolności wyznania i sumienia, jako jednej z podstawowych zasad burżuazyjnej demokracji, które obecnie oficjalnie uznaje i głosi również Kościół katolicki. Doświadczenie historii i rodzima praktyka stosunków społecznych nieustannie dowodzą jednak, że wzniesłe hasła i pobożne życzenia, pozostają najczęściej w całkowitej sprzeczności z rzeczywistą postawą sił społecznych, które je głoszą.

Cała, prawie półtora tysiąca lat licząca, historia Kościoła rzymskiego, od momentu, kiedy ukształtował się on ostatecznie, jako odrębny kierunek w łonie chrześcijaństwa, jest nierozdzielnie związana z walką o władzę i polityczną ingerencję kleru we wszystkie sprawy doczesne. Udział w polityce nie jest, zresztą, cechą wyróżniającą wyłącznie Kościół katolicki. Dotyczy to, w mniej lub bardziej jawnej postaci, wszystkich religii światowych, tak długo, jak długo istnieje własność prywatna środków produkcji i podział ludzi na wyzyskiwanych i wyzyskujących, uciskanych i uciskających, zależnych i panujących.

Na ile, zatem, realne jest urzeczywistnienie, oficjalnie wyznawanej, zresztą, przez Kościół katolicki zasady: cesarskie - cesarzowi, boskie - Bogu, czyli Kościołowi? Czy Kościół może zrezygnować z udziału w polityce?

Odpowiedź na te pytania wymaga uzmysłowienia: po pierwsze - najgłębszej istoty polityki, jako nieodłącznej sfery antagonistycznych stosunków społecznych; po drugie - rzeczywistej społecznej istoty Kościoła, jako jednego z podstawowych elementów tych samych stosunków społecznych.

Czym zatem jest polityka, gdy odrzucimy powierzchowne pozory i uczone fałszerstwa, unikające istoty kwestii? Jest to, przede wszystkim, sfera stosunków społecznych, w której ekonomiczne, materialne interesy i cele przeciwstawnych sił społecznych realizowane są w drodze wykorzystania pozaekonomicznych środków przemocy i przymusu, z władzą państwową i ustawodawstwem, łącznie.

Na czym, z kolei, polega rzeczywistość, a nie urojona istota Kościoła katolickiego, jako jednego spośród wielu organicznie ze sobą zespolonych i wzajemnie na siebie oddziaływujących, elementów całokształtu stosunków społecznych? W szerokich warstwach społecznych utrzymuje się na przestrzeni dziejów przekonanie, że istota społeczna Kościoła polega na nauczaniu wiary i spełnianiu praktyk religijnych, jako naturalnej duchowej potrzeby wierzących. Z tego punktu widzenia Kościół katolicki jawi się jako powszechna /uniwersalna/ wspólnota wszystkich katolików w skali światowej. Gdy idzie o masy wierzących, cała nauczająca i obrzędowo-kultowa działalność Kościoła dąży, za w szelką cenę, do uzasadnienia i utrwalenia pozorów, na których iluzja ta się opiera.

W rzeczywistości zaś, Kościół katolicki, od początków swego istnienia, jest ekonomiczną i polityczną formą organizacji kleru katolickiego, jako szczególnej części klas posiadających: w późnej starożytności i w średniowieczu – feudalów, w epoce kapitalizmu - burżuazji.

Kościół katolicki kształtował się jako nadrzędna ideologiczna i polityczna instytucja całego systemu feudalnego. Podstawę potęgi Kościoła w średniowieczu stanowiła jego siła

ekonomiczna i bogactwo materialne, wyrosłe z wyzysku milionowych rzesz chłopów i rzemieślników pańszczyźnianych, nadanych Kościołowi wraz z użytkami rolnymi, miastami i specjalnymi przywilejami oraz świadczeń materialnych ponoszonych na rzecz Kościoła, formalnie - przez całe społeczeństwo, przez wszystkie jego klasy i warstwy, w rzeczywistości zaś, pochodzących z wyzysku bezpośrednich wytwórców dóbr materialnych.

Kler katolicki ideologicznie sankcjonował stosunki feudalne i czynnie uczestniczył w umacnianiu i utrwalaniu politycznego panowania feudalów za pośrednictwem środków politycznej przemocy, dążąc jednocześnie w sprzyjających warunkach, do politycznego uzależnienia i podporządkowania Kurii Rzymskiej całokształtu przejawów życia społecznego w Europie i jej koloniach. W walce o urzeczywistnienie tych dążeń i o umocnienie politycznej supremacji Kościoła katolickiego zgładzono w wyroków sędziów kościelnych na stosach i szafotach setki tysięcy ludzi. W różnych okresach walki o nawrócenie niewiernych pozbawiono życia miliony ludzi na wszystkich kontynentach, wyniszczono i zlikwidowano bez reszty całe narody, społeczeństwa, cywilizacje i kultury. Przez wiele stuleci Kościół katolicki bezlitośnie zwalczał wszelkie przejawy postępowej myśli i praktyki ludzkiej, przyczyniając się we wczesnym średniowieczu do ich cofnięcia w porównaniu do poziomu epoki starożytnej.

Co zatem decydowało w epoce feudalnej o szczególnej roli Kościoła, tzn. kleru katolickiego, w życiu politycznym? Oczywiście, nie decydowały o tym, ani zacofanie, ani fanatyzm religijny. Przesądzała o tym natomiast ekonomiczna pozycja kleru katolickiego, jako najpotężniejszego w skali europejskiej feudała. Przesądzały więc najbardziej przyziemne, materialne, ekonomiczne interesy utrwalania i rozszerzania swego stanu posiadania oraz możliwości wyzysku bezpośrednich wytwórców i wprzęgnięcia do realizacji tych celów władzy świeckiej. Dokonać zaś tego można było tylko na drodze utrwalania i umocnienia udziału samego Kościoła w sprawowaniu władzy, nie tylko ideologicznej, lecz przede wszystkim politycznej, rozporządzającej materialnymi środkami przemocy fizycznej i administracyjnego przymusu, gwarantującymi zabezpieczenie i realizację ekonomicznych interesów kleru katolickiego. Właśnie ekonomiczne cele i interesy Kościoła, jako międzynarodowego centrum wyzysku i ucisku bezpośrednich wytwórców, praca których stanowiła źródło jego bogactwa i przywilejów, zadecydowały o tym, iż ukształtował się on, już w epoce feudalizmu, jako instytucja nieograniczonej centralizacji politycznej, o charakterze wybitnie totalitarnym i agresywnym, oparta o bezwzględną dyscyplinę i posłuszeństwo i bezwzględnie zwalczająca swoich konkurentów ekonomicznych i przeciwników ideowo-politycznych za pomocą wszelkich dostępnych środków, z masowym terrorem fizycznym włącznie. O żadnym demokratyzmie i pluralizmie nie mogło tu być nawet mowy.

Rewolucją burżuazyjną i zwycięstwo kapitalizmu położyły kres średniowiecznej politycznej supremacji Kościoła katolickiego, obaliły one bowiem pańszczyźniane podstawy ekonomicznej potęgi kleru i podważyły jego dominację ideologiczną, w warunkach zaostrej sprzeczności społecznych i pogłębiającej się laicyzacji wszystkich dziedzin życia społecznego, przede wszystkim zaś, pod wpływem narastającego konfliktu pomiędzy klasą robotniczą i burżuazją. W tej sytuacji Kościół katolicki, po ponad dwu wiekach walki w obronie stosunków feudalnych, musiał pod koniec XIX wieku ostatecznie się pogodzić ze zwycięstwem kapitalizmu i dostosować się do nowych uwarunkowań społecznych, jeśli nie chciał przekształcić się w niewiele znaczącą sektę.

Zwycięska burżuazja stając się decydującą w społeczeństwie siłą ekonomiczną, nie miała potrzeby, ani zamiaru, dzielić się władzą polityczną z kimkolwiek. Była ona natomiast zainteresowana w przejściu Byłych feudalów, w tym również kleru

katolickiego, na kapitalistyczną drogę gospodarowania, oznaczało to bowiem istotne umocnienie pozycji burżuazji w społeczeństwie w ogóle i osłabienie sprzeczności w łonie klas posiadających. Odpowiadało to również interesom byłych feudałów, w tym kleru katolickiego, ponieważ zmiana ograniczała się tylko do zmiany jednej formy własności prywatnej i wyzysku bezpośrednich wytwórców na drugą, bardziej nowoczesną. Zgodnie z tym Kościół katolicki przekształcił się w międzynarodowy ośrodek ideologicznej akceptacji kapitalizmu, co całkowicie odpowiadało interesom wszystkich warstw burżuazji, niezależnie od stanowiska światopoglądowego, ponieważ pomagało pacyfikować walkę pracującej większości z wyzyskiem i uciskiem.

Idąc na ugodę z burżuazją i przekształcając się w specyficzną warstwę, kler katolicki musiał praktycznie zrezygnować z walki o dominację polityczną, aczkolwiek nigdy nie zrezygnował z powrotu do niej w sprzyjających ku temu okolicznościach. Ten kompromis nie oznaczał jednak rezygnacji Kościoła katolickiego z aktywności politycznej w ogóle. Uczestniczył on w życiu politycznym jako jedna z istotnych potęg ekonomicznych świata kapitalistycznego, przede wszystkim, współwłaściciel i właściciel wielkich banków i różnorodnych przedsiębiorstw kapitalistycznych, niezależnie od innych specyficznych form wyzysku i ściągania haraczu z ludzi pracy. Właśnie dlatego Kościół katolicki, jako scentralizowany ośrodek polityczny, oparty o autorytarną władzę o feudalnych strukturach, aktywnie współdziałał z innymi politycznymi ośrodkami burżuazji, w utrwalaniu i umocnieniu jej panowania.

Znajdując się w ścisłych ekonomicznych i politycznych związkach i zależności od głównych ośrodków kapitału /wielkie monopole, partie polityczne burżuazji, rządy burżuazyjne, międzynarodowy syjonizm, masoneria i inni/. Kościół katolicki spełnia rolę jednego z podstawowych instrumentów umacniania pozycji burżuazji we współczesnej walce ze wszystkimi postępowymi, antyimperialistycznymi tendencjami i ruchami, przede wszystkim zaś, w walce z rewolucyjnym ruchem robotniczym. W walce tej idzie, oczywiście, nie o dogmaty wiary, ani o doczesne interesy małuczkie, lecz o utrzymanie, utrwalenie i umocnienie ekonomicznych, materialnych interesów kleru katolickiego, związanych z ustrojem opartym o prywatną własność środków produkcji i wyzysku pracy najemnej.

Stąd też fałszywa interpretacja komunizmu, jako wulgarne materializmu i kolektywizmu "wypaczających" istotę "wiecznej" natury ludzkiej i podważających "solidaryzm społeczny", czyli "harmonijne współzycie" bogatych i biednych, wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, uciskających i uciskanych. Tymczasem, właśnie kler katolicki zawsze reprezentował nieposkromioną zachłanność na dobra doczesne, co czyni z niego rzeczywistego nosiciela wulgarnie pojmowanego "materializmu". Właśnie kler katolicki organizując, wbrew fasadowym hasłom i sloganom, nieprzerwaną nigdy krucjatę przeciwko wszystkim inaczej myślącym, podsycia i utrwała antagonizmy społeczne w łonie wyzyskiwanych i uciskanych dla osłabienia ich walki z ciemnizmielami, poczesne miejsce wśród których zajmuje Kościół katolicki. Właśnie Kuria Rzymska i episkopaty poszczególnych krajów zwalczają zdecydowanie wszystkie przejawy solidaryzowania się środowisk katolickich, świeckich i duchownych, z interesami i walką prostych ludzi pracy, pod obłudnym pretekstem, że Kościół nie może się mieszać do polityki.

Kościół katolicki od połowy ubiegłego wieku akceptował imperialistyczne podboje kolonialne, zawsze i wszędzie współdziałał z zaborcami /z silniejszymi/, czynnie popierał reżymy faszystowskie we Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Ameryce Łacińskiej, akceptował krwawe tłumienie rewolucji robotniczych, powstań chłopskich i ruchów narodowo-wyzwoleńczych oraz ofensywę burżuazji na ekonomiczne, socjalne i polityczne zdobycze ludzi pracy w każdym kraju. Domagając się zawsze i wszędzie publicznej skruchy, pokuty i spowiedzi od swoich

przeciwników, Kuria Rzymska nigdy nie uznała za swoją moralną powinność okazać publiczną skruchę za to, co w historii Kościoła katolickiego, było sprzeczne z głoszonymi dogmatami wiary i doczesnymi interesami wyzyskiwanej i uciskanej większości społeczeństwa.

Jak dowodzi, zatem, doświadczenie, Kościół katolicki, jako autorytarna organizacja, reprezentująca prywatno-własnościowe interesy ekonomiczne kleru katolickiego, nie może zrezygnować z udziału w życiu politycznym, ponieważ oznaczałoby to w praktyce ograniczenie jego działalności jedynie do posług religijnych i w konsekwencji rezygnację ze wszystkich materialnych przywilejów i możliwości utrzymania wiernych w posłuszeństwie. Kościół katolicki, rezygnuje więc z ingerencji w życie polityczne tylko tam i o tyle, gdzie i o ile, sprawujące polityczne panowanie siły społeczne, ograniczają jego dążenia w tej dziedzinie na mocy prawa, co bynajmniej nie oznacza, że może on zrezygnować z walki o przywrócenie utraconych przywilejów w sprzyjającej ku temu sytuacji, dopóki sam pozostaje reprezentantem interesów prywatnej własności środków produkcji i czerpie swoją siłę z wyzysku bezpośrednich wytwórców.

Kościół katolicki stanowił jedną z głównych sił przygotowujących i realizujących przemianę, jakie nastąpiły w Polsce po wyborach czerwcowych 1989 r. Kler katolicki stanowi na dzień dzisiejszy najsilniejszą ekonomicznie, najlepiej zorganizowaną politycznie, posiadającą najszerze wpływy w społeczeństwie, największe doświadczenie i najlepsze kadry część składową, odradzającą się w Polsce, na gruncie restauracji stosunków kapitalistycznych, burżuazji. Dalsze umocnienie swoich pozycji Kościół katolicki w Polsce łączy nierozdzielnie z własnym udziałem w przejmowaniu majątku narodowego przez kapitał prywatny. Już dzisiaj, przedstawiciele kleru szeroko partycypują w zarządach i radach różnego rodzaju spółek prywatnych, zaś spółki te, z kolei, świadczą wysokie kwoty na rzecz fundacji kościelnej. W tej sytuacji nie należy się dziwić, że kwestia rozliczenia tzw. spółek promienek lub afery wódczanej i tym podobnych problemów, nurtujących opinię publiczną, są praktycznie nie do rozwiązania. Kościół nie dopuści, aby likwidowano kury znoszącemu złote jaja. Jednocześnie majątek i działalność gospodarza Kościoła zostały na mocy ustawy zwolnione z wszelkich świadczeń podatkowych i ograniczeń prawnych. Do tego dochodzą zawrotne sumy, które kler zbiera za chrzty, śluby, komunie, pogrzeby i inne posługi kultowe, rozmaite zbiórki, darowizny, wydawnictwa itd., itp.

W tej sytuacji kler katolicki w Polsce stanowi dziś niewątpliwie najlepiej sytuowaną materialnie część społeczeństwa. Ale jest to dopiero początek. Apetyty kleru w tej dziedzinie są nieograniczone. Wszystko to odbywa się w warunkach, kiedy w Polska stoi w przededniu katastrofy ekonomicznej i społecznej, nie mających sobie równych w dziejach kraju, a spowodowanych przez antynarodową politykę kolejnych ekip rządowych z obozu "solidarnościowego". Likwidacja ekonomicznych i socjalnych zdobyczy pracujących, odbywająca się na gruncie postępującego rozkładu gospodarki narodowej, a co zatem idzie, ograniczania produkcji przemysłu i rolnictwa, stanowią dzisiaj główne źródło bogacenia się kształtującej się polskiej burżuazji i jej zagranicznych mocodawców. Kościół katolicki, który wszechstronnie uczestniczy w tym procesie, całkowicie sankcjonuje, aktywnie współtworzy i popiera tę politykę.

Realizacja takiej polityki prowadzi jednak nieuchronnie do zaostrożenia się sprzeczności społecznych i wzrostu niezadowolonych wyzyskiwanych mas. Grozi ona niekontrolowanym wybuchem społecznym. W tej sytuacji kler katolicki dąży do zajęcia decydującego miejsca w życiu politycznym kraju, aby za pośrednictwem państwa zabezpieczyć interesy swojej klasy i jej sojuszników. W związku z tym, ukształtowana w Polsce po czerwcu 1989 r. jawna dyktatura burżuazji, coraz to bardziej rozwija się jako polityczne panowanie kleru, katolickiego i związanych z nim środowisk. Polska staje się swoistym państwem kościelnym,

"katolicką republiką parlamentarną", jeśli tego rodzaju forma ustroju państwowego może w ogóle istnieć. To znaczy, formalnie mamy do czynienia z burżuazyjną parlamentarną demokracją, faktycznie zaś, z nieograniczoną ingerencją Kościoła w sprawy państwowe, w wyniku czego parlamentaryzm przyjmuje charakter światopoglądowy /katolicki/, czego materialnym wyrazem jest już dzisiaj skład i działalność Senatu, jak również kolejne proklamacje Prezydenta.

Nie ograniczając się do tych kwestii, Kościół katolicki dąży do zdobycia supremacji we wszystkich dziedzinach życia społecznego, do stworzenia takiej sytuacji politycznej, w której nikt nie ośmieli się przeciwstawić jego decyzjom. Mamy, w związku z tym, do czynienia z kształtowaniem się w społeczeństwie atmosfery terroru moralnego i politycznego, który łatwo może się przekształcić w bezpośredni terror fizyczny. Jest to stara metoda. Kiedy nie można więcej nabierać i okłamywać, trzeba zastraszyć i zdobyć środki, aby ten strach był materialnie uzasadniony.

Kościół katolicki zdobył więc już istotny wpływ na armię, policję i wymiar sprawiedliwości. Kurie i parafie kontrolują politykę kadrową na swoim terenie oraz czystkę nieprawomyślnych w całym aparacie administracji państwowej, samorządowej i gospodarczej. W wyborach czerwcowych, samorządowych, a szczególnie prezydenckich, ambona stała się instrumentem kampanii wyborczej i wywierania światopoglądowej presji na rzesze wierzących, a parlamentarne komisje przygotowujące nową ordynację wyborczą gotowe są oficjalnie lub milcząco zaakceptować te praktyki, pozostające w zasadniczej sprzeczności, zarówno z zasadami oficjalnie głoszonymi przez Kościół, jak i klasycznymi zasadami burżuazyjnej parlamentarnej demokracji.

Jednocześnie Kościół podejmuje próbę opanowania Sejmu przez swoją klientelę w nadchodzących wyborach parlamentarnych. Służyć temu ma pobłogosławiony i namaszczony przez Prymasa sojusz sił prawicowych spod znaku chrześcijańskiej demokracji, pośpiesznie montowany spośród, różnego rodzaju kadłubowych, liczących po kilkaset lub kilkadziesiąt rządnych władzy osobników, których głównym atutem nie jest niestety miłość bliźniego, lecz bezgraniczna nienawiść do wszystkiego, co postępowe i nie jest związane z Ciemnogrodem. Są to osobnicy pokroju senatorów i posłów oraz "mężów stanu", jak Romaszewski, Piotrowski, Niesiołowski, Łopuszański, minister-prokurator Chrzanowski, bracia Kaczyńscy i im podobni.

Ale Kościół w swym dążeniu do supremacji politycznej nie ogranicza się tylko do walki o przejęcie kontroli nad państwem. Dąży on, do uzyskaniu istotnego wpływu na radio i telewizję, do opanowania i poddania swej cenzurze prasy i wydawnictw, podporządkowaniu parafii stowarzyszenia i organizacja społeczne, oświatowe, kulturalne, sportowe, inicjuje akcję święceń obiektów użytku publicznego itd. itp. Kościół wykorzystuje wszystko, co się daje, do moralnego, ideowego i politycznego usidlenia społeczeństwa. Wyrazem tego stało się, niezgodne z Konstytucją, wprowadzenie religii w szkołach, z pominięciem parlamentu, na mocy kościelno-ministerialnej instrukcji i sprzecznego z obowiązującym ustawodawstwem orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego. Nie chodziło tu oczywiście o nauczanie religii, lecz o zdobycie szkoły, jako narzędzia ideologicznego i politycznego uzależniania nie tylko uczniów i nauczycieli, lecz przede wszystkim rodziców, jeśli nie chcą utrudniać startu życiowego swoim dzieciom. W rezultacie, pod moralnym i politycznym, a często administracyjnym przymusem, setki tysięcy rodzin bezwyznaniowych lub innych wyznań, aby uniknąć przesładowań i odosobnienia w środowisku, jak również pierwszeństwa przy zwalnianiu z pracy, zaczęły, wbrew własnym przekonaniom posyłać dzieci na lekcje religii katolickiej i uczęszczać do kościoła.

Nie inaczej przedstawia się kwestia osławionej ustawy antyaborcyjnej, "zainicjowanej" przez Senat, a następnie z namaszczeniem popartej przez Kurię Rzymską, jako przykład do naśladowania dla całego świata. Również w tym wypadku, nie

idzie, oczywiście, ani o zdrowie matek, ani humanizm wobec poczętego życia, lecz o narzucenie kontroli nad każdym przejawem życia społecznego, niezależnie od tragicznych następstw społecznych, do których krok ten może doprowadzić. Idzie o to, aby społeczeństwo uznało wszystkie wyroki i decyzje kleru katolickiego za ostateczne i nie podlegające dyskusji, idzie o to, aby połowa ludności - kobiety, porzuciły aktywny udział w życiu społecznym, ograniczając swoje zainteresowania do trzech nobliwych ośrodków: dzieci, kuchnia, kościół, wracając do średniowiecznej pozycji płodzących, piorących i gotujących. Do społecznego poparcia tej zubożonej sprawy kler katolicki, wykorzystując swoją obecność w szkołach, zmobilizował nawet, jak donosi prasa, uczniów szkół podstawowych, demokratycznie zbierając na lekcjach religii podpisy na rzecz ustawy antyaborcyjnej. Kler katolicki, zdając sobie sprawę z możliwości porażki, sprzeciwił się zorganizowaniu demokratycznego referendum w tej sprawie.

W świetle powyższego nie należy się dziwić, że wódz KPN Leszek Moczulski wypowiedział się ostatnio w telewizji za wprowadzeniem do nowej Konstytucji klauzuli, którą zawierała sławetna Konstytucja z 1935 roku. Idzie, mianowicie, o wprowadzenie artykułu, stwierdzającego, że religia katolicka zajmuje w Polsce dominującą pozycję. Cóż, Gierek w latach siedemdziesiątych wprowadził zapis o przodującej roli partii, dzisiaj rzeczniczy pluralizmu proponują dominującą rolę religii katolickiej.

A zatem, wszystkie praktyczne kroki Kościoła katolickiego w Polsce w ostatnich latach jeszcze raz potwierdzają, że nie może on zrezygnować z polityki i spraw doczesnych. Rezygnuje on z tej dziedziny życia wyłącznie tam, gdzie jego udział przeczyłby jego interesom. Rezygnuje on z walki przeciwko rujnowaniu gospodarki narodowej, bezrobociu, zamykaniu żłobków, przedszkoli, domów kultury i bibliotek, obniżaniu poziomu życia ludzi pracy i emerytów, ograniczaniu wydatków państwa na służbę zdrowia i oświatę, podnoszeniu czynszów i cen na mieszkania itd., itp. To są sprawy doczesne, których hierarchia kościelna nie chce dostrzegać i w stosunku do których zachowuje wierność zasadzie nieingerencji. Nie rezygnuje natomiast nigdy z walki o profity materialne i wpływy polityczne.

Zachłanność na dobra doczesne i żądza władzy, zawsze charakteryzowały Kościół katolicki na przestrzeni jego historii i nie raz przysparzały mu w konsekwencji poważnych kłopotów. Większość ludzi pracy, niezależnie od światopoglądu wyznania, jak również związana z pracującą większością społeczeństwa, nie ulegając konserwatywnej tradycji, część kleru katolickiego, nie mogą długo godzić się z tego rodzaju praktyką i interpretacją roli i miejsca Kościoła w społeczeństwie. Najbliższa przyszłość pokaże, czy ostatnie lata wieku XX w Polsce nadają się do przywrócenia i kultywowania praktyk i tradycji średniowiecznych.

Ściegienny

## Z DZIEJÓW PRL I PZPR

### RAKOWSKI A KONSTANTYN WIELKI

W ostatnim okresie ukazała się nowa książka M.F. Rakowskiego pt. "Jak to się stało?" Generalnym celem tej książki jest rehabilitacja w oczach prawicy społecznej nurtu "reformatorskiego" z byłej PZPR, szczególnie zaś ekipy Jaruzelskiego i Rakowskiego osobiście, ukazanie jego własnych zasług w obaleniu "realnego socjalizmu", utworzeniu drogi do władzy dla antykomunistycznej opozycji i likwidacji PZPR. Jednocześnie Rakowski wygłaszając ogólniki na temat "zreformowanego" socjalizmu, próbuje kokietować środowiska

lewicowe. Zdaje on sobie bowiem doskonale sprawę z tego, że złudzenia co do jego "lewicowości" istnieją jeszcze w szeregach dawnego "aktywu" b. PZPR oraz niektórych kręgach inteligentnych, i wynikają z ich własnych poglądów, obaw i interesów, albo celowo utrwalanej naiwności politycznej. Publikacja książki wiąże się zapewne z chęcią powrotu Rakowskiego na scenę polityczną, tym bardziej, że Otto Wolff von Amerongen, na spotkaniu 450 dyplomatów, polityków i dziennikarzy RFN miał powiedzieć, że sukces Rakowskiego, to nie tylko jego sprawa, "lecz Europy"/s.186/.

Kim zatem jest M. F. Rakowski? Urodził się w 1926 roku w rodzinie wielkopolskiego chłopca i wychowywany był w duchu antykomunizmu i nacjonalizmu. Mając 4 oddziały jednoklasowej szkoły powszechnej na wsi, po roku nauki w szkole wojskowej, we wrześniu 1945 r. zostaje oficerem w LWP. Nadmieńmy, że do wojska zgłosił się na ochotnika. Nie mając pojęcia o marksizmie, ale urzeczony ideą "kolektywizmu" wstępuje do PPR, chcąc prawdopodobnie uwiarygodnić się w oczach nowego reżymu, tym bardziej, że ojciec jego należał przed wojną do piśsudczykowskich i sanacyjnych ugrupowań politycznych. Rakowski nigdy nie wyjaśnił, co robił w wojsku, czy brał udział w walkach z opozycją zbrojną, w jakich jednostkach służył. Nie wiemy również, dzięki jakim zasługom i dzięki czemu poparciemu trafił wkrótce do pracy do Komitetu Centralnego PZPR. Szybko zostaje skierowany do Instytutu Nauk Społecznych, który okazał się później kuźnią przyszłych kadr antysocjalistycznej opozycji. Wielu absolwentów tego Instytutu znalazło się na Zachodzie i współpracowało później z ośrodkami imperialistycznymi. Po ukończeniu Instytutu, jeszcze przed "odwilżą", Rakowski w 1956 r. uzyskuje stopień doktorski. Prawdopodobnie w tamtym okresie Rakowski, z jednej strony związał się z ukrywającymi swoje rzeczywiste oblicze antykomunistami i dzięki nim robił karierę, a z drugiej strony - z racji pisania pracy doktorskiej o socjaldemokracji niemieckiej, zadzierzgnął głębsze kontakty w RFN. Dlatego zapewne, co wyznaje w swej książce obecnie, od wielu lat był za zjednoczeniem Niemiec, co jednak ukrywał przed polską opinią publiczną.

W 1957 r. Rakowski zostaje redaktorem naczelnym "Polityki" i cały czas cieszy się zaufaniem Gomułki. Z racji sprawowanej funkcji posiada rozległe kontakty polityczne i towarzyskie, krajowe i międzynarodowe. Pismo staje się głównym ośrodkiem wszystkich sił prawicowych w partii. Pismem swoim oddziaływanie na ówczesny establishment polityczny, kadrę kierowniczą i inteligencję. Jego kontakty i wpływy owocują wyborem /czy też mianowaniem/ na funkcję zastępcy członka KC PZPR.

W latach 68-70 Rakowski zajmuje dwulicową postawę nie udaje się na słynny wiec w sali Kongresowej, na którym skandowano na cześć Gierka. Jednakże jeszcze przed odejściem Gomułki, gdy dni jego były policzone, Rakowski /wspólnie z J. Urbanem, Aleksandrem Paszyńskim, Dariuszem Fikusem i Michałem Radgowskim/ przygotowuje program na nowy etap rozwoju kraju, nawiązuje współpracę z Gierkiem i zyskuje jego aprobatę dla swego programu.

Rakowski jest zwolennikiem polityki "otwarcia" na Zachód, prowadzącej do wzrostu zadłużenia. Popiera woluntarystyczną i prowadzącą do rozkładu całej gospodarki koncepcję "nacisku na konsumpcję, aby przyspieszyć wzrost produkcji". W tym czasie umacnia jeszcze bardziej swoje kontakty na Zachodzie, gdzie pisze się o nim z sympatią, jako o "koniu paradnym" ekipy Gierka. Nawiązuje również kontakty ze środowiskami opozycyjnymi w ZSRR i innych krajach socjalistycznych.

Dzięki naiwności ekipy Gierka oraz świadomemu poparciemu części osób w ówczesnym kierownictwie. Rakowski w 1972 zostaje posłem na Sejm, a w 1975 r. członkiem KC.

Gdy w czerwcu 1976 r. dochodzi do strajków w Ursusie i Radomiu, Rakowski czuje pismo nosem, zaczyna w sposób

pośredni /ulubiona jego metoda/ krytykować politykę Gierka /której bez wątpienia był współtwórcą/, a w sposób bezpośredni, reprezentuje to stanowisko wobec przywódców Zachodu. Umocnia również swoje pośrednie i bezpośrednie kontakty z opozycją w kraju. Drogę w tym środowisku toruje mu Jan Szczepański, który pod pozorem nauki, cały czas zajmował się działalnością antykomunistyczną.

Przed rokiem 1980 Rakowski tkwi w samym centrum przygotowań do wykorzystania nadciągającego kryzysu przeciwko PZPR i socjalizmowi. "Polityka" stanowiła ośrodek centralizujący wszystkie nurty opozycyjne. Rakowski patronuje działalności konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość", stanowiącemu pierwowzór Rady Konsultacyjnej przy Jaruzelskim i słynnego z oddania władzy dla antykomunistycznej opozycji - "Okrągłego Stołu".

Strajki w roku 1980 rozpoczynają się na Lubelszczyźnie. Jednakże dopiero na Wybrzeżu nabierają charakteru politycznego, co dzieje się niewątpliwie za wiedzą i przy poparciu części kierownictwa PZPR. Do czasu powołania na stanowisko premiera Rakowski za pomocą "Polityki" umocnia swoje kontakty i więzi z doradcami "Solidarności". Jednocześnie aktywnie wspiera organizowanie się "Solidarności" na zakładach pracy.

Ponieważ Rakowski i Jaruzelski pracowali dla tych samych opiekunów i mieli podobne poglądy na cele bieżące, mógł Jaruzelski powołać Rakowskiego na swego wicepremiera. Rakowski staje się właściwie prawą ręką Jaruzelskiego, jest twórcą polityki "mnożenia, pół konfrontacji z opozycją i podejmowania walki tam, gdzie strona rządowa wygrać zamiaru nie miała", czyli faktycznego ośmielenia i umocniania opozycji. W tym czasie organizuje walkę z lewicą partyjną w PZPR i prawdopodobnie już wówczas szykuje się do objęcia kierownictwa partii, aby stamtąd przystąpić do jej planowej i systematycznej likwidacji. Ponieważ na IX Zjeździe PZPR, pomimo jego słabości i znacznego udziału delegatów prosolidarnościowych, Rakowski przeszedł minimalną ilością głosów, oraz ze względu na ówczesną sytuację w partii i na arenie międzynarodowej - musiano wstrzymać się z realizacją tych zamierzeń. Na Zjeździe Rakowskiemu zaszkodziło m.in. to, że postrzegany był jako polityczny "kameleon" i organizator nagonki na komunistów.

Wobec radykalizacji opozycji i konsolidacji sił lewicowych w PZPR oraz rosnącej nieufności w krajach "bloku wschodniego", ekipa Jaruzelskiego decyduje się na wprowadzenie stanu wojennego. Rakowski opracowuje jego założenia polityczne. Zasadniczym jego celem jest odsunięcie partii od wpływu na życie społeczno-polityczne i ekonomiczne, czasowe przejęcie na siebie realizacji programu kontrewolucji /"reform"/ oraz tymczasowa izolacja najbardziej aktywnych przedstawicieli opozycji, a właściwie danie im fizycznej i politycznej ochrony. Rakowski i Jaruzelski byli wówczas świadomi, że jego główne ostrze musi być skierowane przeciwko komunistom.

Dopiero po latach Rakowski przyzna, że Jaruzelski przecenił ich wpływy społeczne. Dlatego nie zdecydował się wówczas na realizację rad Rakowskiego, aby zlikwidować PZPR dla uwiarygodnienia stanu wojennego wobec opozycji - na to było na razie za wcześnie.

W latach 80-tych Rakowski jest jednym z głównych autorów polityki likwidacji partii i socjalizmu. Dla ewentualnego przerzucenia odpowiedzialności za politykę gospodarczą po wprowadzeniu stanu wojennego, Rakowski i Jaruzelski decydują się na powierzenie funkcji premiera Z. Messnerowi, który posłusznie realizuje decyzje Biura Politycznego, któremu przewodzą Jaruzelski, i Rakowskiego, który jest przewodniczącym Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie. Messner, który jako I sekretarz KW PZPR niejednokrotnie bronił Rakowskiego, musiał odejść w następstwie różnic personalnych, po celowo sprowokowanych strajkach górniczych.

Po awansowaniu na premiera Rakowski kontynuuje politykę rozłożenia gospodarki narodowej i wzrostu niezadowolonia społecznego, aby w ten sposób uzasadnić konieczność upadku socjalizmu /gdyż się "nie sprawdził"/ i oddać władzę dla opozycji.

Rakowski potwierdza w swej książce, iż pod hasłem walki z dwoma "skrajnymi skrzydłami" w partii, realizowano faktycznie walkę z lewicą partyjną, i komunistami w szczególności. Do walki wewnątrz partii wykorzystano służby specjalne milicji i wojska. Na komunistów ekipa Jaruzelskiego próbowała nawet przetrząść winę za zabójstwo ks. J. Popiełuszki. Rakowski przyznaje, że otwarcie na opozycję odbyło się właściwie drogą manipulacji, wbrew partii. Jaruzelski, Kiszczak, Siwicki, a później i inni członkowie Biura Politycznego, zastosowali na X Plenum szantaż wobec Komitetu Centralnego. Po spacyfikowaniu partii i przegranych wyborach do Sejmu, Rakowski w lipcu 1989 roku zostaje I sekretarzem PZPR. Odbywa się to przy pośrednim poparciu opozycji. Rakowski doskonale zdawał sobie sprawę, iż rozwiązanie PZPR przekreśli kontrakt "Okrągłego Stołu" i ułatwi opozycji drogę.

Po rozwiązaniu PZPR szefostwo nowej partii, wbrew pierwotnym obietnicom, nie było już mu potrzebne, ile na wszelki wypadek, zagwarantował sobie jeszcze na Zjeździe pojadę redaktora naczelnego w organie teoretycznym socjaldemokracji.

Rakowski przechodzi do porządku dziennego nad zarzutami komunistów wobec "linii porozumienia" z kontrewolucją, chociaż późniejszy wydarzenia potwierdziły ich słusność.

Rakowski pisze, że przeceniano wpływy komunistów. Powstaje jednak pytanie: skoro komuniści nie mieli wpływów, to dlaczego jeszcze teraz Rakowski poświęca im wiele miejsca? Cały czas zdawano sobie sprawę, że komuniści stanowili potencjalne zagrożenie dla polityki ustępstw i rozkładu gospodarki. Jeśli więc "przeceniano" ich siłę, to nie tyle z punktu widzenia dnia dzisiejszego, co z punktu widzenia przeszłości i przyszłości kraju. Obawiano się, że komuniści na gruncie pryncypialnej krytyki przeszłości, będą w stanie zaproponować program i pozyskać dla niego szerokie rzesze społeczne. Rakowski i jemu podobni, obawiali się wówczas i obawiają się teraz, że tylko komuniści mogą ich zdemaskować.

Jak wynika z książki Rakowskiego, podział w kierownictwie PZPR na komunistyczny "beton" i "reformatorów" był w większości pozorowany, gdyż chodziło o zachowanie kontroli kierownictwa partii nad różnymi środowiskami w partii i społeczeństwie. Chodziło więc nie tyle o eliminację "betonu" z kierownictwa partii, bo w nim komunistów nie było już od wielu lat, lecz o sterroryzowanie szeregowych członków partii. Proces oczyszczania kierownictwa partii z komunistów zaczął się już w czasach przedgomułkowskich. Rakowski i Jaruzelski doskonale o tym wiedzieli.

Rakowski niejednokrotnie wypowiada krytyczne uwagi pod adresem związków zawodowych, zrzeszonych w OPZZ i kierowanych przez Miodowicza. Przemilcza na natomiast fakt, iż związki te były organizowane pod jego nadzorem. Były one narzędziem zniewalającym masy w rękę Jaruzelskiego. Miodowicz był tylko posłuszną marionetką, która przyczyniła się m.in. do obalenia rządu Messnera i wprowadzenia Wałęsy m scenę polityczną. Celem tych związków było rozładowywanie niekorzystnych nastrojów i pacyfikowanie wszelkich niezależnych politycznych odruchów ludzi pracy. Rakowski nigdy nie zdobył nie na wyjaśnienie rzeczywistych przyczyn zawieszenia i rozwiązania branżowych związków zawodowych po 15 grudnia 1981 r.

Rakowski potwierdza, że proces rozkładu partii i socjalizmu, szczególnie w ostatnim okresie, koordynowany był przez przedstawicieli kierownictwa partii /Rakowski, Barcikowski, Ciosek, Czyrek/ oraz przedstawicieli Episkopatu /E Macharski J. Stroba A. Orszulik /. W latach 80-tych celowo umocniono pozycję

Kościół, patronującego opozycji. Umocnieniu ich pozycji służyły kolejne wizyty papieża do kraju, w których zainteresowane były również władze. Episkopat nie był niewdzięczny. Poparł zamiary rządu Rakowskiego, a później po klęsce wyborczej ekipy rządzącej, podjął wspólne działania z opozycją na rzecz przywrócenia dla ekipy Jaruzelskiego utraconych mandatów parlamentarnych.

Rakowski po raz pierwszy, jak na polityka tak wysoko w przeszłości postawionego, przyznaje, iż ośrodki na Zachodzie wspierały nie tylko antysocjalistyczną opozycję, ale również ówczesne kierownictwa partii w krajach "bloku wschodniego". Stąd też, gdy pojawiło się zagrożenie dla zaplanowanych na Zachodzie i zaakceptowanych przez ekipę Gorbaczowa przemian ewolucyjnych, w Warszawie zjawił się G. Bush i udzielił poparcia Jaruzelskiemu w wyborze na prezydenta w 1989 r.

W każdym rozdziale książki Rakowskiego znajdujemy potwierdzenie zdrady interesów ludzi pracy przez Jaruzelskiego /jeśli słowo "zdrada" jest w ogóle właściwe w stosunku do człowieka, który nigdy ich nie rozumiał i nie był z nimi związany/. W okresie stanu wojennego skupił on w swoim ręku pełnię władzy państwowej, ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za politykę kadrową i eliminowanie komunistów z aparatu państwowego i partyjnego, za dezorganizację partii, za umocnienie pozycji Kościół i opozycji, za ostateczne oddanie władzy politycznej, za dwulicową politykę wobec ZSRR i neokolonialne uzależnienie Polski od kapitału zachodniego.

Cała działalność polityczna Rakowskiego podporządkowana była likwidacji socjalizmu i partii, do której sam należał. Rakowski pozostałby prawdopodobnie przeciętnym oficerem. Awansował jednak dzięki własnej gorliwości i związkom politycznym. W czasie swojej kariery politycznej rozwinął w sobie najgorsze cechy charakteru: dwulicowca, lawiranta i intryganta, obłudnika i człowieka pozbawionego zasad. Stąd też nigdy nie wyjaśnił, w jakich spółkach jest udziałowcem i z jakich przywilejów korzystał będąc w elicie władzy.

Rakowski cały czas działa jako antykomunista, a jednocześnie ukrywa swoje rzeczywiste poglądy. Obiektywnie przypomina to działalność agenturalną, choć nie znaczy, że musi się ona odbywać koniecznie za obce pieniądze.

Taki człowiek nie może być oczywiście humanistą. Wysoką ocenę swojej osoby zawdzięcza Rakowski kokietowanym przez siebie od lat środowiskom elity intelektualnej oraz patronującym jego działalności ośrodkom na Zachodzie. Jest wręcz niebezpiecznym politykiem, szczególnie dla tych, którym oferuje swoje usługi.

Każda partia, która zechce korzystać z usług Rakowskiego zasługuje na potępienie ZE strony ludzi pracy, zejście z areny walki politycznej i surowy osąd historii. Rakowski to zrozumiał, dlatego uznał, że nadszedł czas rehabilitacji w oczach prawicy.

Jak na ironię, a jednocześnie pozostając wiernym swej metodzie kokietowania lewicy, Rakowski mottem do swojej książki uczynił słowa Saint-Justa, iż nie można sprawować władzy i być bez winy. Jednakże nawet dziś przepaść pomiędzy Saint-Justem, czołowym przedstawicielem radykalnego nurtu w Rewolucji Francuskiej 1789 r., a Rakowskim, renegatem i dwulicowcem, jest tak wielka, że możemy stwierdzić, iż gdyby Rakowskiemu przyszło żyć w czasach Saint-Justa, prowadziłby zapewne przeciwko niemu chłopów Wandei i budował szafot.

Słusznie czyni zatem J. Urban, porównując Rakowskiego z Konstancyntym Wielkim, który będąc poganinem wspierał chrześcijaństwo, a następnie na łożu śmierci wyparł się swej starej religii i przyjął chrzest. Jest w tym zawarta nie tylko ocena jego postawy politycznej, ale również określenie jego charakteru i pewna prognoza na przyszłość.

**Saint-Just**